

KAMENIA

LUBLIN

31.I.1964

Nr 2 (288)

ROK XXXI

CENA 2 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN - BIAŁYSTOK - KIELCE - RZESZÓW

GORZKIE SPRAWY

WALDEMAR BABINICZ

BARDZO to piękny i humanitarny zwyczaj: pogłaskać kryptowanego, zanim mu się poda czarną polewkę do wypicia. Niech mu wyjdzie na zdrowie. Chwałę więc i nisko się kłaniam wszystkim organizacjom społecznym, a przede wszystkim młodzieżowym: ZMS, ZMW, ZSP i ZHP. Oddają co cesarskie i przystępują do rzeczy.

1. Organizacja przysłała mi młodzieńca z doskonałą opinią i własnoręczną uwagą przewodniczącego: „Aktywista, k-owiec, zdolny, ruchliwy, niestety nierówny w pracy, wpada w depresję, ostatnio nazbyt często. Postawcie go na nogi”. Ciekawy człowiek — myślę. Lubię ludzi tego pokroju. Po tygodniu okazuje się, że protegowany istotnie załamywał się w życiu. Może nazbyt często. W każdym razie był przedsiębiorczy. Aż trzy razy zdążył w ciągu krótkiego życia zmieniać domy poprawcze. W każdym najmniej spędził rok. Każdorazowy atak depresji doprowadzał go do kolizji z prawem. Raz okradł własną szkołę, innym razem bibliotekę, później ukradł radio i telewizor w świetlicy. Jak widać, istotnie umiłował instytucje kulturalno-oświatowe. Fachowiec. Na moją ostrą interwencję nadchodzi zaskakująca odpowiedź: „Nie chcieliśmy, abyście się uprzedzali do chłopca. Jest zresztą naprawdę inteligentny. Ostatecznie, wszyscy uczyliśmy się na błędach”.

2. U państwa X mieszka ciotka. Osoba rzeczywiście mało ponętna. Aspołeczna, gderliwa, snobka, histeryczka. Synek państwa X płała ciotce figle. Coraz silniejsze, dotuczliwsze, w miarę jak narastał wiek ciotki i źle tłumiona radość innych domowników. Od słów do czynów droga nie zawsze daleka. Synalek zaczyna podkradać ciotkę, która domyśla się oczywiście, kto jest sprawcą tych drobnych na razie kradzieży. Oskarża chłopca przed rodzicami. Piekło. „Jak śmiesz? Nasz unio? Nie weźmie nawet drugiej porcji leguminy bez pytania. Wstydzi się nie masz. Oto, dokąd prowadzi zaciętrzewienie”. Synek słyszy, zaciętrzewia ręce i kradnie coraz bezczelniej, aż wreszcie dochodzi do wielkiego skandalu: chłopak kradnie i sprzedaje biżuterię ciotki wartości ponad czterdzieści tysięcy złotych. Co powie opinia? Trzeba sprawę zatuszować. Jak? Ciotka, która jest przyczyną zła, musi natychmiast opuścić dom. Opuściła. A synek? Toczy się dalej.

3. Młody człowiek (siedemnaście lat) ma różne hobby. Owszem, zbiera też znaczki, i fotografie aktorek. Dowiaduje się, że jedna z nich, osoba już w podeszłym wieku, przebywała w schronisku dla aktorów. Nawiązuje z nią korespondencję. O, młodzieńcze bardzo lubi korespondować. Piękną listy. Listami tymi zdążył wzruszyć wielu ludzi w kraju, nawet wybitnych pedagogów, opiekunów młodzieży, speców w Polskim Radio. O, i nasza zasłużona aktorka, poru-

ZE STAREGO LUBLINA



Opracował z negatywu Józefa Czechowicza inż. Andrzej Polakowski

szona głęboko losem swego młodego wielbiciela, posyła mu znaczki nie tylko do zbiorów, ale i dla podtrzymywania korespondencji. Znaczki są oczywiście spylane z miejsca. Później jeszcze to i owo. Natarczywość młodzieńca rośnie. Wreszcie proponuje: „Pani jest już nad mogiłą. Ma pani różne cenne dowody przyjaźni swoich dawnych wielbicieli, jak np. bransoletki, kamee, ma pani dwa futra, a ja ani jednego. Więc niech mi to pani teraz wszystko zapisze, a ja przyrzekam solennie, że po śmierci pani będę pielęgnował jej grób, zamawiał w rocznicę zgonu mszę żalobną”. Adresatka po otrzymaniu tego listu dostaje ataku sercowego. Z trudem uratowana pisze, mój Boże, gorzki list do chłopca, którego pokochała jak syna. Młodzieniec? — Żle zagrałem — po-

wiada — trzeba było ostrożniej. Z innej beczki. I szuka innego obiektu. Znajduje, naciąga, trwoni pieniądze. A ludzie: „Jednak, przyznajcie, że to chłopak wyjątkowo inteligentny. I zdolny. Trzeba go we właściwym tylko kierunku ustawić. I rzeczywiście. Ustawiony, trafił do więzienia. Osiem miesięcy. Wyjdzie i zacznie *da capo*.

4. TV transmituje proces chuliganów. Przed ogłoszeniem wyroku dyskusa na temat profilaktyki. Wypowiadają się różni ludzie. Przedstawiciel organizacji młodzieżowej: „Właśnie postawiliśmy w naszym mieście tablicę, na której umieszczają będziemy nazwiska chuliganów. Pregierz”. Sędzia ironicznie: „Panie, oni kpią z naszych wyroków, a pan z tabliczką,

(Dokończenie na str. 7)

Urbanizacja i jej skutki kulturowe

EMANUEL ISERZON

„Ucieczka” ze wsi do miasta jest oceniana często — przy podejściu codziennym, a więc powierzchownym — jako objaw chęci użycia, lekko-myślności, braku miejscowego patriotyzmu, sobkostwa u „uciekiera”. Ta ocena w odniesieniu do indywidualnego wypadku może być najzupełniej trafna. Ale podobne zakwalifikowanie znanego na świecie ruchu społecznego niewątpliwie szerszego się i u nas już w okresie dwudziestolecia międzywojennego w małej skali, a w Polsce Ludowej w tempie zawrotnym — jest błędne.

Do połowy XVIII w. zaludnienie świata nie wykazywało godnych uwagi zmian. Od tego czasu ludność świata podwaja się co sto lat (1750 r. — 660 mln, 1850 r. — 1.100 mln, 1950 r. — 2.400 mln). Staje się więc coraz ciśnień na świecie. Wzrost ludności ma tempo szybkie, ustala się je na 1-2% rocznie. Mówi się o „eksplozji ludności”, „eksplozji rozrodczości”. Wzrost ludności nie odbywa się równomiernie na całej powierzchni globu ani w granicach danego kraju. Ta nierównomierność w skali kraju dotyczy przede wszystkim liczebności stosunku między ludnością wiejską a miejską. Od dawna, a w bieżącym stuleciu szczególnie szybko, ulega zmniejszeniu ludność wsi na korzyść miasta. Jest to zjawisko w skali światowej. W USA w latach 1920-1950 odsetek zatrudnionych w rolnictwie zmniejszył się z 71,9% do 12,5%. W Polsce w r. 1900 ludność miejska stanowiła 20% ogółu ludności, w 1921 — 24%, w r. 1931 — 27%, w r. 1950 — 26,6%, a w 1960 r. — już 49,1%. Zachodzi proces „urbanizacji”. Jest to jeden z najbardziej doniosłych procesów społecznych. Urbanizacja jest konsekwencją rozwoju przemysłu i warunkiem jego rozwoju: potrzebuje on coraz więcej rąk do pracy, bez dopływu świeżych rąk nie będzie się rozwijał w tempie, jakie nakazują konieczności dziejowe. Z drugiej strony, na wsi w rolnictwie zmniejsza się zapotrzebowanie na ręce robocze wskutek wzrostu mechanizacji.

Urbanizacja jest zjawiskiem złożonym i wieloprogowym. Ma ona różne aspekty. Między innymi — doniosłe skutki kulturowe.

Wiele miast na Zachodzie rozrosło się przez wchłonięcie okolicznych wsi tak potwornie, że ludność jednego miasta przestała być jedną społecznością. Wchłonięte wsie ulegają przekształceniu na modłę miejską pod względem zabudowy i sposobu życia. Ale również dalsze wsie, nie wchłonięte przez miasto, pod wpływem oddziaływania kulturowego pobliskiego miasta ulegają urbanizacji — zaczynają przypominać miasta. W Polsce są regiony rolne nie tknięte jeszcze urbanizacją, jak Kleleczyna, Rze-

(Dokończenie na str. 10)



Wiceprzewodniczący PWRN w Białymstoku mgr Gabriel Górtowski.

W związku z zakończeniem obchodów Roku Ziemi Białostockiej, redakcja nasza zwróciła się z prośbą o jego ocenę do wiceprzewodniczącego Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Białymstoku mgr Gabriela Górtowskiego. Oto jego wypowiedź.

ACZKOLWIEK rok 1963 — Rok Ziemi Białostockiej dobiegł końca, nie czas jeszcze na jego podsumowanie i wyciągnięcie wniosków. Trudno dziś pisać w konkretach o ogólnych efektach gospodarczych i społeczno-kulturalnych, jakie przyniosły obchody Roku. Niewątpliwie zajmie się tym Plenum Wojewódzkiego Komitetu Frontu Jedności Narodu. Można natomiast podzielić się z czytelnikami „Kameny” uwagami i spostrzeżeniami na temat minionego roku jako Roku Ziemi Białostockiej.

W r. 1963 byliśmy organizatorami wielu imprez artystycznych i gospodarczych oraz konferencji ogólnokrajowych. Gościliśmy w naszym mieście i na Ziemi Białostockiej wielu działaczy społeczno-gospodarczych i naukowców z terenu całego kraju. Wyrażali się oni z uznaniem o osiągnięciach województwa białostockiego. Niektórzy z nich byli nawet zaskoczeni tym, co oglądali. Oglądali Białostoczynę po raz pierwszy po wojnie lub nie widzieli jej od kilku lat. Wyobrażali sobie ziemię naszą zupełnie inaczej.

Dwadzieścia blisko lat władzy ludowej w Polsce — to okres stałego rozwoju gospodarczego i kulturalnego. Dwadzieścia lat tej władzy na Białostoczynie dokonano poważnych przeobrażeń. Oczywiście daleko jeszcze województwu naszemu do całkowitego zlikwidowania zaniedbań z okresu międzywojennego i zniszczeń wojennych. Do dziś Białostoczyna nie zapomina, że nazywano tę ziemię Polską „B”, a więc Polską, w której nie się nie działo. Bieda królowała niepodzielnie we wsiach i miastach. Trudno w stosunkowo krótkim okresie dziewiętnastu lat odrobić te olbrzymie zaniedbania.

W roku 1944 rozpoczynano od podstaw. W mozołnym trudzie, rok za rokiem, dzięki wysiłkom władzy ludowej i społeczeństwa, likwidowano niesławą spęszczoną — Polskę „B”.

Ten wysiłek jest dziś widoczny. Nie ma miasta, miasteczka, a nawet wsi, w których by się coś w zakresie gospodarczym czy kulturalnym nie działo, gdzie nie powstawałoby coś nowego. Dziś wszyscy jesteśmy żywo zainteresowani rozwojem społeczno-gospodarczym i kulturalnym swoich regionów. Mieszkańcy Białostoczyny kochają swoją ziemię i czynią wszystko, nie szczędząc sił i środków, aby stała się zasobniejsza, piękniejsza i kulturalniejsza.

Głównymi założeniami roku 1963, ogłoszonego Rokiem Ziemi Białostockiej i włączonego do ogólnopolskiego programu obchodów 1000-lecia Państwa Polskiego, było: pełne wykonanie planów gospodarczych w każdej dziedzinie naszej gospodarki oraz wszechstronne inicjowanie czynów społecznych w celu pogłębienia gospodarności społecznej, zmierzającej do awansu naszych miast, miasteczek i poszczególnych wsi. Ponadto rok 1963 był okresem przygotowań do wielkich uroczystości dwudziestolecia Polski Ludowej.

Nawet bez głębszej analizy, stwierdzić można, że założenia programowe Roku Ziemi Białostockiej zostały całkowicie zrealizowane, mimo iż rozpo-

czynaliśmy rok 1963 z dużymi trudnościami. Sroga zima — zima stulecia poważnie opóźniła prace w naszym rolnictwie. W przemyśle spowodowała duże niedobory w wykonaniu planów gospodarczych pierwszego kwartału, które trzeba było nadrabiać w ciągu całego prawie roku. Wymagało to zwiększonego wysiłku załóg pracowniczych. Głównym zadaniem była mobilizacja wszystkich sił i środków do pełnego wykonania planów gospodarczych.

Rolnictwo, a także przedsiębiorstwa pracujące na rzecz rolnictwa, nie zawiodły pokładanych nadziei, mimo niesprzyjających warunków. Zbiory zbóż i ziemniaków wypadły pomyślnie. Plan w zakresie melioracji także został wykonany. Przybyło nam około 17 tys. hektarów zmeliorowanych łąk i pastwisk. Wieś nasza, niegdyś prymitywna, zacofana, odradza się i nowocześniej. W roku 1963 rolnicy zakupili około 400 traktorów i 423 agregaty omlotowe.

Wiele gałęzi naszego przemysłu kluczowego, terenowego i spółdzielczego, pomimo poważnych trudności, wykonało swoje plany gospodarcze.

Wyróżniającym się rozdziałem w obchodach Roku Ziemi Białostockiej stały się czyny społeczne. Nie ma jeszcze ich zbilansowania, ujęcia liczbowego i finansowego. Niewątpliwie jednak liczby będą co najmniej dwukrotnie większe aniżeli w roku 1962.

Ale nie chodzi o to, aby chwalić się efektem finansowym. Chodzi o to, że rok 1963 jako Rok Ziemi Białostockiej dał szczególny asumpt do podejmowania czynów społecznych. Chodzi o to, że w tym roku podejmowanie czynów społecznych było, można by powiedzieć, manifestacją uczuć dla Ziemi Białostockiej.

Wykorzystano każdą okazję, aby czynem społecznym wykonać coś, co świadczyłoby o gospodarności mieszkańców osiedli i wsi. Ta troska o wykazanie gospodarności widoczna była nie tylko przy budowie dróg i mostów, świetlic czy sklepów wiejskich, widoczna ona była przy porządkowaniu swolch zagrod i domów, przy ukwiecaniu i zadrzewianiu, przy zakupie telewizorów dla całej wsi.

O zrozumieniu właściwych zadań w Roku Ziemi Białostockiej może świadczyć przeprowadzony konkurs na najbardziej czyste i gospodarne miasto Białostoczyny. Zwyciężyły w tym konkursie dwa miasta: Sejny i Bielsk Podlaski. Mieszkańcy Sejn w ramach czynów społecznych dokonali kompletnego uporządkowania, ukwiecania i zadrzewienia. Podobnie urządzono Supraśl i Rajgród — miasteczka turystyczne. Szczególne słowa uznania należą się mieszkańcom Supraśla. Czystość i porządek tego miasteczka ściągają tysiące turystów i wycieczkowiczów.

Czyny społeczne mieszkańców nie tylko świadczą o ich gospodarności, ale i o ich świadomości społecznej, o ich stosunku do różnych problemów naszego życia społeczno-gospodarczego i kulturalnego.

W dalszym ciągu prymat w czynach społecznych ma budowa i naprawa dróg, mostów i przepustów. I to jest zrozumiałe. Dzisiejsza wieś białostocka — to nie dawna zabita deskami prowincja. Postępująca wciąż mechanizacja naszego rolnictwa, zwiększająca się stale ilość traktorów i innych pojazdów mechanicznych, wymaga dobrych dróg. Chłop białostocki widzi dla siebie duże korzyści w budowie dobrych dróg i dojazdów, toteż do ich budowy w czynie społecznym nie trzeba go namawiać.

Bardzo charakterystycznym momentem w podejmowaniu czynów społecznych w zakresie kultury było, można powiedzieć, bardzo spontaniczne tworzenie przez ludność wiejską społecznych komitetów zakupu telewizorów. Obok budowy i uporządkowania świetlic wiejskich przyczyniło się to bardzo wydatnie do ożywienia życia kulturalnego.

Trudno tu podać cały bogaty rejestr czynów społecznych mieszkańców Białostoczyny. Można by podawać przykłady udziału społeczeństwa w pracach melioracyjnych, w zalesianiu i zadrzewianiu, w upiększaniu i zazielenianiu miast, w podnoszeniu kul-

tury i zdrowotności, można by mówić o poważnym udziale społeczeństwa w zbiorce na Społeczny Fundusz Budowy Szkół Tysiąclecia itd. itd. Można by wreszcie przytoczyć dobry przykład udziału społeczeństwa miasta Białogostoku, szczególnie młodzieży, w budowie ośrodka wypoczynku wodnego w Dojlidach i uporządkowaniu miasta.

PRÓBA AWANSU

ZBIGNIEW ŚLĄCZKA

PIERWSZA bytność w jakimś mieście wprowadza nas w zakłopotanie i bezradność. Kroki są niepewne, zapytania o kierunek drogi częste.

Tu tego nie ma. Rozkład miasta wyznacza kilka zaledwie dwupiętrowych budynków delikatnie kolorowych, jeszcze wstydliwych w swojej samotności. W jednym z nich kawiarnia. Po drugiej stronie wielkiego placu biurowy kołos. No to chyba tam. Pomyłka wykluczona: Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Dąbrowie Białostockiej, Komitet Powiatowy PZPR i kilka jeszcze powiatowych instytucji.

Na dole w piwnicy nie restauracja, lecz jadalnia. Ma być supernowoczesna, ale jest wściekle zimna. No cóż, piwnica, ogrzewanie w postaci kilku pofalowanych rur pod sufitem. Kawa jest także. Przy kawie pierwszy rozmówca.

— Decyzja właściwie odgórna. Powiat od 1 stycznia 1956 r. Ze stolicą były sploty — czy Suchowola, czy Dąbrowa. Ale tędy ma przejść kolej. Zatem w Dąbrowie.

Jesteśmy więc u sedna. Awans nie miasta, lecz powiatu.

— Czy pan wie, co znaczy odległość 60 km do miasta powiatowego? Pan nie wie, ale dla chłopów spod Sztabina dostać się do Sokółki, gdy jeden autobus dziennie to był problem nie lada.

Mój rozmówca niewiele ma jednak do powiedzenia. Niedawno pracuje. Zresztą jak i wielu innych. Znana nie tylko tutaj płynność kadr.

Przez gąszcz wydziałów przedrzeć się niełatwo. W każdym mają sprawy najważniejsze. Bo to i komunikacja jest zaniedbana, i oświata nie rozwinięta jak należy, a o kulturze mówić nie ma co, bo nawet teraz nie ma jeszcze samodzielnego wydziału czy referatu kultury. tylko dawno gdzie indziej przegrany twór w postaci podinspektora do spraw kultury i oświaty dorosłych przy Inspektoracie Oświaty.

Skoro już tu się znalazłem nie wypuszczam mnie bez cyfr. Argumenty są przekonujące. Aż za bardzo przekonujące. A więc: że w roku 56 po powstaniu powiatu na jego obszarze było tylko 7 bibliotek, a świetlic aż 4. Ze teraz po ośmiolatej działalności cyfra bibliotek zwiększyła się do 12, a świetlic do 7. I że...

— Przepraszam — powiadam — a ile jest książek w tych bibliotekach?

Wciąż znowu bieganina za sprawozdaniami, cyfry układają się posłusznie w tabeli.

— 3000 woluminów? No tak, ale tylko w Suchowoli. Bo Suchowola ma także i liceum ogólnokształcące, jedne w powiecie. A w innych wsiach cyfry nieublaganie wykazują: 700, 850, 1230. Imponujące. Widziałem punkty biblioteczne w województwie warszawskim, które nie miały mniej książek, mimo że w kompletach wymienionych. No, niewiele tych punktów, kilka. Ale za to księgozbiory bibliotek szkolnych rosną. Wprawdzie też niewiele. Tam i tu niewiele. Tylko w innych proporcjach.

— Pani, kto by chciał dojeżdżać przedtem do wsi. Z powiatu latami nie widziano wizytatora, czy instruktora kulturalnego. Musimy odrabiać zaległości. Teraz łatwiej, prawie wszystkie wsie w promieniu 30 km od Dąbrowy, a i komunikacja.

Wiem, wiem, widziałem w Wydziale Komunikacji, sieć dróg się poprawia, chłopci budują czynem społecznym dro-

Za podjęte czyny społeczne, za poważny wkład w rozbudowę i zagospodarowanie Ziemi Białostockiej należy się mieszkańcom Białostoczyny uznanie i podziękowanie. Wyrażając je za pośrednictwem „Kameny”, mogę stwierdzić, że zrobiono dobry początek do rozpoczynających się w tym roku obchodów 20-lecia Polski Ludowej.

gi gromadzkie, jest komunikacja między wsiami, a i o dojeździe do powiatu pomyślano. PKS dał wozy, kilka razy dziennie do najdalszych zakątków, które teraz już nie tak dalekie. Więc chcę obejrzeć świetlicę w Dąbrowie. Ale jak przystało na matkę powiatu nie dba ona o siebie, choć usiłuje dbać o dzieci. Świetlicy nie ma.

— Ale przyjeżdżają do nas, czasami jakiś odczyt, a i artyści z Estrady warszawskiej, nawet teatr z Białogostoku. Występują w tym baraku, co pan widzi, tam jest kino, wynajęcie sali niewiele kosztuje, bo to kino wiejskie...

No tak, zapomniałem, awans powiatu, nie miasta, miasto może kiedyś powstać, podobno po przekroczeniu mitycznej na razie liczby mieszkańców wyrażonej astronomiczną cyfrą 4000. Teraz Dąbrowa oczekuje na urodziny dwutysięcznego mieszkańca, nie, jubileuszu z tego powodu nie będzie, oby tak dalej, mówią nauczyciele, bo przyznanie praw miejskich obniży im warunki ekonomiczne przez odebranie dodatku na mieszkanie.

Ciągle szukam sedna. Bo przecież wiadomo, nie sieć szkół czy bibliotek wyznacza miejsce w skali ogólnej. Trzeba znaleźć ten punkt, który zrodził fale przemian na tym kresowym terenie. Młody wiceprzewodniczący Prezydium niewiele wie, jest od pół roku, zresztą posiedzenie Prezydium, proszę przyjść później.

Tymczasem kilka rozmów. Pani miejscowa? To znaczy chciałem zapytać, czy z Dąbrowy, lub z pobliza?

Kilkanaście pytań na chybił trafił. Sekretarka miejscowa. Nawet widać dom jej rodziców za parkiem (to jeszcze trzeba wyjaśnić — nie ma jeszcze miasta, ale park musi być, centralny, od okien Prezydium po zrowskie bloki, jeszcze kilka budynków-chalup czy budynków-willi, bo i tak niektórzy je nazwali trzeba znieść, przed oknami Prezydium stoi domek. Kiedyś rolnika, jak powstał powiat, rolnik został kierowcą, nie narzeka, dostanie odszkodowanie i mieszkanie w nowym budownictwie). Moja rozmówczyni od kultury spod Suchowoli. Była nauczycielką. Nie myślała o utworzeniu powiatu. Dopiero później przeniosła się do pracy w Prezydium, dojeżdża. I tak dalej, do szczebla kierownika wydziału. Tu się wszystko komplikuje. Kierownicy, przewodniczący, sekretarze muszą poznawać teren, ludzi, sprawy, wchodzić w nie, jak się wchodzi w nowy kostium sceniczny, w którym nauczyciel się trzeba poruszać. Bielsk Podlaski, Hajnówka, stamtąd pochodzą większość. Są też i z innych miast, wiceprzewodniczący na przykład jest z Łomży. Tak, tak, wiele jeszcze czasu uplynie, zanim powiat stworzy własną inteligencję nie tylko na eksport, ale i do pracy na własnym terenie.

Nie, jest jeden. Z trudem odnalazłem, wysuplałem z posiedzenia Prezydium, pełnego grzeczności i zrozumienia ważności sprawy, jako że dla prasy kulturalnej. Gotów jest się poświęcić.

Na szczęście posiedzenie skończono poświadczyliśmy się więc dla „Kameny” przy kawie na dole.

— Franciszek Zieziula jestem. Już drugą kadencję w funkcji sekretarza Prezydium. Pan pytał, czy miejscowy? Tak, rolnik. Po szkole rolniczej w Olecku. Jako przedstawiciel terenu. Nie nikt nie wybierał, ot, bolało, zacofanie, i tyle. Jak tylko kto przyjeżdżał z województwa, mówilem, pokażywałem, przekonywałem. Czasem

JÓZEF
OZGA-MICHALSKI

Cis i narzeczona

Gdy się zjawili pierwszy raz
w zakolu Wisły sylwestrowej
spod gwiazd zielonych
pod wosk świecy
czoło schmurzone pochylałeś
na moje ramie
a myśl twoja
zaczęła zwolna mnie dotykać
jak ośnieżona cisu galaz
aż się znalazłam na polanie
posadzki z dębem, woskowanej.
I zatańczyłam wtedy z tobą
lekko jak ptak
gdy się kolysz
na ośnieżonych dłoniach cisu
pod żyrandolem niedźwiedzicy.

Głowę nosiłeś w koltnerzyku
dla innych
wyżej odrabana.
Gdy nie ma żrenie
dłoń jest lustrem
i w twojej dłoni się przejrzałam.
Panie w Puławach
panowie w Puławach
siedzieli milcząc
w zamrożonych sanlach.
W topolach grubych
jak w olbrzymich basach
już zasypiała orkiestra
a ja do domu
sama powracałam
szerokim szalem
Wisły owinięta.

„Czy pani wie?
Słowacki zapomniał już
że pisał wiersze
Szopen, że pisał polonezy,
my zapomnieliśmy
żeśmy ich słuchali,
jesion, że szumiał,
że tańczył
w Puławach na balu”.
„Wiek nie umiara,
umierają sekundy”
odpowiedziałam panu.

A mogłeś wtedy
skoczyć w moje sanie
czekać aż niebo
zakryje się chmurami,
cierpliwie czekać
aż dojrzyje śnieg
w ogrodzie wiśniami.

Brakło nam może
jednej godziny.
Sama zostałam
na pustym klombie
za płotem ramion
które mnie pragnęły.

Czy mogłeś wierzyć
że będę czekała
aż ci się przyśnię?
Zapomniałeś o mnie!
Umarlam wtedy
o północy
jak spadająca w śnieg
gwiazda.
„Tak mówią Mario?
Czy nie rozumiesz?
Musiałem odejść
jak wyboista droga
od równej odchodzi ścieżki,
zostałem cisem
w twojej pamięci
ażebys prosto rosła.
Szedłem z tobą
Wisłą pod lodem,
ażebys cię skrycie dopędzić.

Byłem o ciebie
jak wiatr zazdrośny
ale ci mogłem
tylko nocą szeptać
zakłęcia
które inny deptał.

Obudź się Mario,
przepaść rozstania
ja zasypuję słowo po słowie
ale mi powiedz
patrzac prosto w okno
czy jesteś czysta
dziś jak księżyc,
którego z ziemi
jeszcze nikt nie dotknął,
i czy do domu
odjeżdżasz dziś sama?

Milczysz?
Ja po dnie
twojego milczenia chodzę
i dlonią
w której się przejrzałaś
szukam cię takiej
jak byłaś w Puławach
gdy Wisła
szalem ciebie owijała.

Kiedy w topoli
zasypiał woźnica
konie w wiatr nocy
się zamieniały.

Bądź-że dziś dobra
jak ciepła noc dobra
dam ci żrenice

GDYBYM BYŁA PRAWDZIWYM PISARZEM...

„Całe swoje życie dzieci moje wal-
czyły za naszą sprawę, za ojczyznę.
Za ciebie, ojczyznę moją, za ciebie,
ludu polski, córka moja, Małgorzata,
oddala swe życie. Ale ty za jej ofiar-
ną śmierć i miłość ku tobie uczciłaś
ją wspomnieniem, nazywając jej
imieniem wiele szkół, fabryk, żłobków,
spółdzielni, a nawet statek morski. Za
to ja, jej matka, tobie, ludu polski,
dziękuję.”

Zacytowane wyżej końcowe frag-
menty „Pamiętnika matki” stanowią
bodaj najbardziej szczerze credo autor-
ki, która potrafiła znaleźć właściwy
sens życia zarówno dla siebie, jak i
dla swoich dzieci. A trzeba przyznać,
że już samo znalezienie celu nie było
łatwe, możliwości zaś osiągnięcia go
trzeba było niejednokrotnie opłacać
licznymi wyrzeczeniami i kłękami. I
choćbyż liczne przeszkody udaremniły
to zadanie wielu działaczom, Marcjan-
na Fornalska niewątpliwie należy do
tych, którzy nie pozwolili się zepchnąć
z raz obranej drogi. Kiedy dzisiaj żeg-
namy Marcjanę Fornalską, trudno
zdecydować, co w większym stopniu
zasługuje u niej na szacunek: gorący,
żywiłowy pęd do wiedzy, walka o
sprawiedliwość społeczną, miłość i
troska o dzieci, stosunek do partii...

Jedno nie ulega wątpliwości: tak
jako matka, jak i towarzysz partyjny
potrafiła zawsze z godnością i poświę-
ceniem wypełniać wszystkie obowiąz-
ki, nie znając kompromisów i odwro-
tów.

abyś spać mogła
i dlonie obie,
abyś mnie objęła
i nogi obie
abyś ze mną poszła.
A gdy już pójdziesz
wszystko ci odbiorę
abyś ode mnie
nigdy nie odeszła”.

Nam mieszkańcom Lubelszczyzny
jej postać jest szczególnie bliska. Życie
i działalność Marcjanny Fornalskiej
wiąże się przecież z naszym regionem.
Tu bowiem, w wielodzietnej rodzinie
chłopskiej Starzyńskich, we wsi Lo-
piennik koło Krasnegostawu, przyszła
w roku 1870 na świat. Tutaj też od-
kryła szybko jedną z pierwszych, naj-
większych miłości w swoim życiu —
książkę, o czym tak pisze m. in.:

„Odtąd czytałam dużo, jak tylko
mogłam coś dostać. Książki moje le-
żały i nad kominem, i u dziecka pod
poduszką, aby w każdej wolnej chwili
były pod ręką; nawet w żniwa, choć
było nas do pracy tylko dwoje. Jeżeli
miałam ciekawą — ale co tam cieka-
wą, aby książka — to kiedy mąż kła-
dnie się spać, ja poukładam dzieci, bio-
rę małą lampę naftową, osłaniam ka-
wałkiem płótna komin, aby dzieciom
nie przeszkadzało światło i czytam do
rana. Najcięższe wypadki, a było ich
w tym życiu bardzo wiele, nie
zachwiały mnie w umiłowaniu książek.
Zawsze mi ich było mało — bo książ-
ki bardzo rzadko otrzymywałam. Były
one przeważnie od ojca, który wie-
dział, jak je kocham; ale i to miało
się szybko skończyć”.

Wydana za mąż bardzo wcześnie (17
lat) przeniosła się Fornalska z Lopi-
nika do Fajstławic, a praca na roli i
wychowywanie dzieci, których liczba
doszła aż do sześciorga — to były za-
dania wyjątkowo ciężkie, jak dla jed-
nej, nawet zahartowanej kobiety. A
jednak nie zalażowała się. Chciała i
musiała znaleźć czas na naukę dla sie-
bie i dla dzieci. Najstarszy jej syn,
Franciszek, zasłynął w okolicznych
wsiach jako wybitny samouk-mecha-
nik. Z myślą też o kształceniu dzieci
sprzedała ziemię, chociaż ta decyzja
nie mogła przynieść jej łatwo. Prze-
niosła się następnie z rodziną do Lu-
blina, gdzie dzieci mogły pójść do
szkół, matka zaś ciężko na nie pra-
cowała, zarabiając liche grosz praniem
i prasowaniem bielizny.

Wojna 1914 roku rozpoczęła okres
tułaczki rodziny Fornalskich, która
skończyła się aż w Caryncynie (obecnie
w Wołgogradzie). Tu w roku 1917 za-
staje ich Rewolucja Październikowa.
W tym historycznym momencie
Marcjanna Fornalska umie szybko od-
naleźć swoje miejsce. Wraz z córką,
Małgorzatą wstępuje do SDKPiL.

(Dokończenie na str. 10)

Wracał będę piórem do ziemi rodzinnej

KIEDY patrzę na swoje książki, a nabierało się
ich w ciągu trzydziestu lat mojej roboty pió-
rem sporo (bo 20), widzę, że począwszy od
pierwszego tomiku wierszy „Wyjazd wnuka”, a koń-
cząc na ostatnim zbiorze opowiadań „Popiół mirto-
wy”, wracam ustawicznie niemal motywami do Zie-
mi Rzeszowskiej, a ściślej do powiatu kolbuszow-
skiego i pewnej małej wsi, położonej u południowo-
wschodnich jego granic. Czy wiecie jak się ona na-
zywa?

Nienadówka.
Pozwólcie, zacznę od niej, powiem dlaczego mi się
ona podwija pod pióro, skąd to się dzieje, że nie
mogę o niej jakoś zapomnieć.

Do dzisiejszego dnia — na szosie naprzeciw ple-
banii stoi tam wysoki orzech włoski, stoi lipa i pod
nią organistówka, w której przyszło mi spędzić
szczęśliwe dzieciństwo. Ile razy zastanawiam się, co
leży u źródeł moich wierszy i moich opowiadań, to
zawsze dochodzę w wędrowkach wspomnień do or-
ganistówki. To był, proszę was, za moich mło-
dych lat naprawdę wspaniały dom. Muzyka była w
izbie, grał na fisharmonii mój ojciec, samouk-orga-
nista, muzyka była w kościele, muzyka poważna,
usposabiająca w kierunku tego, co nieznanne i nie-
jasne, i muzyka pod kościołem, muzyka świecka,
pod bramę cmentarną bowiem podpyływały orszaki
weselne z kapelą i autentyczną ludową pieśnią, a
wesołe chłopskich po pierwszej wojnie światowej
przytrafiło się — trzeba wiedzieć — ogromnie du-
żo. Ta podwójnego charakteru muzyka dawnych cza-
sów, jeśli ocalała w moich skromnych utworach li-
terackich, to oczywiście dzięki temu, że uintensy-
wniła ją gorzkie moje życie osobiste i bujny wiejski
świat, ten z ogródków obsadzonych malwami, i ten z
miedz dzikich róż i użonej roboty, i ten z wes-
sel, gdzie lata się krew w bitkach o najpiękniejszą
dziewczynę, i ten z cmentarza, gdzie odprowadzało
się najdroższych znajomych w trumnach białych albo
czarnych, albo wcale nie malowanych.

Powiat kolbuszowski ma swoją bujną historię. To-
czyły się tu wypadki i zdarzenia o głębokim często
znaczeniu. Powinno je notować pióro historyka i pió-
ro pisarza. Pamiętam ten dzień majowy z r. 1933,
w który głodni chłopcy z Trzebosi i Nienadówki po-
maszerowali z lagami i pałami do pana starosty,
aby upomnieć się u niego o sprawiedliwość i prawa
ludu. Pamiętam ten świt pogodnego dnia wiosny,
kiedy koło naszego domu (co prawda nie na orga-
nistówce już było, ojciec bowiem został tymczasem
jako ludowiec usunięty przez księdza i sanacyjnego

wójta ze stanowiska organisty), kiedy — powtarzam
— koło naszego domu przemaszerowały tysięczne
tłumy zbuntowanego chłopstwa z okrzykami rew-
lucyjnymi, porywając z sobą wszystkich po drodze
gospodarzy. Poszedł wtedy mój brat i dotarł aż do
Kupna, gdzie czekały już auta nasłanej przez sta-
rość, uzbrojonej po zęby policji.

Pamiętam wojnę 1939 r., bombardowanie Niena-
dówki i Sokołowa. Kończyłem studia uniwersytec-
kie wtedy, a wakacje przedłużyć się mi miały aż
o cztery lata. Spędziłem je we wsi, obserwując,
przeżywając osobiste i nieosobiste tragedie, pisząc
jako znany już wtedy autor trzech wydanych tomów
wierszy. Pamiętam pacyfikację Nienadówki, w cza-
sie której padło dziesięciu chłopów pod kulami roz-
bestwionych gestapowców, pamiętam kilkugodzinną
bitwę w lasach Trzebuski oddziału Gwardii Ludo-
wej „Iskra”, dowodzonego przez Stanisława Szy-
bistego, z batalionem Reichswehry stacjonującym w
Górnicy. Pamiętam rok 1944 i walki batalionów AK
w okolicach Kolbuszowej z Niemcami, cofającymi
się z frontu. Sam brałem udział jako partyzant w
dwu potyczkach w Porębach Kupieńskich, a lała się
krew po obu stronach. Nosilem na plecach żelazny
klarnet Stena, za pasem granaty, w kieszeni ołówek
i notesy. Byłem w sztabie „Doryny” jakby Kseno-
fontem partyzanckiej akcji. Przeżywało się niemal
satisfakcję. Jeździło się po lasach zdobycznymi sa-
mochodami, dysponowało się doskonałą wódką, broń
dawała poczucie nieograniczonej wolności.

Pobyt swój na ziemi kolbuszowskiej kończyłem w
roku 1945 jako nauczyciel-polonista w założonym
przez profesora Michała Winogrodzkiego i przeze
mnie gimnazjum w Sokołowie.

Echa młodości, echa wypadków, na które patrzy-
łem i które przecierpiałem wspólnie z ludźmi, któ-
rzy zostali na ziemi ojców, starałem się zamieścić
w wierszach, w dwu powieściach, w opowiadaniach
i artykułach swoich. Jasne jest, że to nie wszystko,
że jeszcze wracał będę piórem do ziemi rodzinnej.
Nie uda mi się nigdy zapomnieć ludzi, wspaniałych
ludzi, z którymi związałem się swoim losem i którzy
żyją jeszcze tutaj, nie uda mi się nigdy zapomnieć
o ojcu i matce, i najbliższych krewnych, nie uda mi
się zapomnieć o wypadkach, jakie przez ten kawałek
kraju, który nazywa się ojcowizną, przeszły jak burza.

Chyba nie szkodzi, że jestem dziś dość daleko od
nich. Im dalej jestem od ziemi ojców, tym widzę
ją wyraźniej, dystans poprzez wspomnienia, tęskno-
tę, żal nie zaciera mi konturów rzeczywistości i ob-
razu ludzi.

Moim marzeniem jest, aby prawda o pięknie, o
ziemi i ludziach pracujących tutaj, pięknie osobli-
wym i niewątpliwym, które chciałem od początku
swojej terminatorki literackiej uchwycić jakoś i
utrwalić w słowie, wzruszyła czytelników nie tylko
w jednym powieście, ale w całym kraju.

Jan Bolesław Ożóg

JAN BOLESŁAW OŻÓG

Skojarzenia

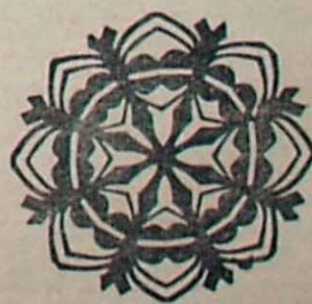
Nad tętent szyn — błyskawicę głuchoniemy
gniew.
Rakiet — nad huby chmur — poharatany
śpiew.
Z szkieletów gór potworny skacze krzew
rusztowań.
I krew, z odartych ramion hut żelazna krew.
W ornacie złotym burze i kałuże.
Co tylko się muzyką zwie! I grom, i różę,
i morza żelbetonu aż do dna — pionowo.
Jeziora ognia raptem zawieszono w górze.

Pod Kolbuszową

Buraczkowe miasto.
Kamieniczkom nuci wasąg
jak jaskółcze gniazdo.

Toczą się koła do lasu —
nędzarskie matewki szprych.
Wsparte kozikiem topoli
serce miasteczka — słonko
tryska krwią i boll.
niby na truskawce krzyk:
słaba wieczorna biedronka.

Z tomika „Ogier i makolągwa”.





Zamieszczamy artykuł prof. M. Grzędziłskiej z dużym opóźnieniem, za co przepraszamy autorkę. Zawarte w nim rozważania powinny jednak i dziś zainteresować Czytelników.

DUZO tu mistyfikacji. Trzy nowe wydane „z autografu” były już drukowane przez Miriam w „Chimerze” i przedrukowane przez Piniego. We wstępie nie ma o tym wzmianki, nie ma też oczywiście porównania dotychczasowych druków ze wznowieniem obecnym. Teksty obecnie różnią się jednak niewiele od Piniego: interpunkcją i akapitami. Tytuł *Trylogia włoska* też, jak można sądzić, jest raczej słuszną supozycją wydawcy. Trochę więc gramy w ślepią babkę.

Kłeski Norwida w różny sposób stara się powetować nasza epoka. Wciąż np. rozmienna się poeść na drobne, umieszcza go w antologiach, sporządza wybory jego wierszy i prozy, uzupełnia to i owo. Na saldo Gomulickiego trzeba jednakże zapisać *Vade mecum*. Wciąż też wznawia się przedawniony proces przeciwko tym, którzy Norwida pogrzebali w niepamięci. W ewolucji poezji drugiej połowy XIX wieku zawazył nie Norwid, tylko jego nieobecność, fakt jednak jest nieodwracalny. Ponieważ zaś bardzo skrzywdzono poetę, należy mu dać hojną rekompensatę w postaci bezkrytycznego wychwalania à la Miriam i procesu z przeszłością też à la Miriam. Im wyżej ceni się dziś Norwida, tym większa wydaje się krzywda, tym większa zbrodnia na nim popełniona. Sprzyja to geniezie pewnego mitu, jakoby istniała jakaś zмова przeciwko Norwidowi, a więc rozsądni skądinąd pisarze, zasłużeni w literaturze i w działalności społecznej, gdy zaczyna się mówić o Norwidzie, stają się ślepi, pozbawieni poczucia estetycznego. Nie wymyka się z tego sam Krąszewski. Mity jednak są w nauce bardzo szkodliwe, są tworem koniunkturalnym i w razie uprzejmego trwania wymagają rewizji. Rewizja mitów norwidologicznych musi doprowadzić i do rewizji Norwida. Inercję niektórych chwytnych widać np. w wydanej na Zachodzie książce zbiorowej *Norwid żywy*. (Londyn 1962). Kilka rozpraw odmyma tam uprzejmie tajemnicę Norwida uniwersalnym kluczykiem pani Calergis, a nawet (o zgrozo!) interpretuje „czarną nić” *Mojej piosenki* (I) jako tragiczną miłość do owej piękności. I nic nie szkodzi, że wiersz powstał o rok wcześniej, niż Norwid poznał swą wielką damę. Miriam pisał o wyjeździe Norwida z kraju jak o ucieczce w stanie bolesnego i słusznego rozgoryczenia, którym napoło poetę warszawskie towarzystwo. Tak jakby zawody tam przeżyte determinowały wszystkie późniejsze niedole Norwida, który zasnął w młodości wiele biedy, ale najgorsze miał dopiero przed sobą. Czarna nić wplotła się na dobre w jego życie dopiero w więzieniu na Moabicie, gdyż za tym poszła utrata mienia, ekspatriacja

i wreszcie chroniczna choroba uszu. To jednak Norwid sam na siebie sprowadził i może dlatego właśnie tak rozpaczliwie przeżywał rozbiście marzeń miłosnych... Łatwo jakoś pomieszać naiwnego, uczynnego, próżnego trochę chłopca z późniejszym tragicznym wędrownym z Atlantyk i z żalonym pensjonariuszem przytułku dla ubogich emigrantów. Łatwo też utożsamiać autora najlepszych wierszy *Młodej Warszawy* (niektórzy nazwali to potem *Cyganeria*) z dojrzałym twórcą *Vade mecum* i *Kleopatry*. Proces dojrzewania poety krzyżuje się z procesem życiowej degradacji. Wszystko na tle biedy emigranckiej, do której Norwid z trudnością się nałamywał. Jego walka wygląda czasem heroicznie, Norwid źle był do niej przystosowany, ale jakby np. w niej wyglądał... Zygmunta Krasińskiego? Chyba gorzej.

Cykl nowel wydany przez Gomulickiego stanowi ostatni akt tragedii Norwida. Znow jak w detalicznej sprzedaży trzy nowelki zamiast tomu prozy. Nowelki te łączy czas powstania, lecz lepiej by się tłumaczyły w szerszym kontekście, a nie są ani trochę mniej dostępne od innych. Gomulicki wznawia też proces z epoką Norwida, lecz te pretensje do nieboszczyków doprawdy już przebrzmiały. Mieszkański mecenat literacki sprawowali wydawcy i mieli przed sobą dobry interes lub filantropię. Pełne wydanie Syrokomli miało przynieść dochód wdowie i dzieciom, a podobno przyniosło straty firmie Gebethnera i Wolffa, wcześniej nie opłaciły się tym samym wydawcom zbiorowe dzieła Korzeniowskiego. Niektórzy poeci wydawali szczerze tomiki swym kosztem lub za egzemplarze autorskie. To towarzystwo warszawskie, w którym Norwid kiedyś dał się poznać, schodziło już z pola, zepchnięte przez pokolenie pozytywistów, którzy nie chcieli poetów. Czy będziemy procesować się z lewicą emigracji? To byli biedacy. Czy z Hotelem Lambert? Czy z konserwą krakowską? Oskarżenia jakoś wymykają się spod śledztwa, a proces z nieboszczykami można podtrzymać tylko w bardzo ogólnikowym akcie oskarżenia.

Trylogia włoska na tle noweli drugiej połowy XIX stulecia okazuje się czymś odrębnym od ówczesnie panujących kierunków. Gdy Gomulicki zestawia te nowele Norwida z nowelami Hoffmanna, Gautiera, Nodiera i Poe, ustawia pokrewieństwa z poetyką wygasającą. Są to nowele romantyczne, spóźnione wobec ówczesnej konstytacji realizmu i naturalizmu. Z drugiej strony do tych pokrewieństw nawiąże symbolizm, ale autor wstępu nie zwraca na to uwagi, lecz kojarzy pewne motywy *Tajemnicy lorda Singelworth* z *Nędznikami* Wiktora Hugo.

Nowele *Trylogii włoskiej* są dość różne co do wartości. Najlepiej zorganizowana epicko — *Ad leones*. *Stygmat*, jak wiadomo, snuje dość blache zdarzenie. Nie miejmy zresztą pretensji o cal-

(Dokończenie na str. 8)

PODCZAS niedawnego jubileuszu Jana Parandowskiego, po zakończeniu literackich przemówień, weszła na scenę para młodych ludzi. Gdy wręczali pamiątkowy puchar i składali gratulacje, nie od razu ich poznano. A przecież był to Janusz Słodo, mistrz w rzucie oszczepem, oraz jedna z najbardziej utalentowanych polskich lekkoatletek.

Czym to wytłumaczyć? Tym, oczywiście, że Parandowski wydał przed 30 laty jedną z najświetniejszych powieści poświęconych sportowi, „Dysk olimpijski”. Opublikowana w 1932 doczekała się już dziesięciu wydań i kilkunastu tłumaczeń (a także, w 1936 roku uwięźnienia przez Międzynarodowy Komitet Olimpijski). W szkicu poświęconym problemowi powieści sportowej pt. „Otwarte drogi” Parandowski wyjawiał swe marzenia o jakiejś „Czarodziejskiej górze” sportu. Bowiem powieść Tomasza Manna stanowiła studium choroby; natomiast owa nowa epopea mogłaby ukazać zjawiska radości i zdrowia. Myślę jednak, że chodzi tu także o drugą stronę problemu, wysuwającą się na czoło już od pierwszych kart „Dysku olimpijskiego”: o ideę sportu, jako pokojowego i bezkrwawego sposobu manifestowania energii młodzieńczej.

Tak więc sprawa sportu łączyła się i łączy u Parandowskiego z wielkim zainteresowaniem jego życia: światem antycznym. Jeden z najświetniejszych w Polsce latynistów i hellenistów, znalazł się jako student I roku archeologii klasycznej w Wiecznym Mieście. Do olśniew i uniesień tej podróży wrócił potem w swej uroczej książeczce „Mój Rzym” (1959). Od szkolnych czasów poznał tajemnice antycznych pisarzy. Z rozkoszą przekładał „Odysseę” i Juliusza Cezara. Nie tylko Rzym, ale i Grecja, Sycylię i Capri poznał z autopsji. Starożytny stadion Olimpijski przemierzył wszczep i wzdłuż. Wazom greckim poświęcił wspaniałe studium. Wierzenia magiczne Rzymu, oraz Eros na Olimpie, stały się dlań pobudkami do

napisania przenikliwych książek. Kalligula nawiedzał jego wyobraźnię jako postać powieściowa. Ale na sprawy starożytności patrzył zawsze oczyma współczesnego człowieka, a poznany do głębi antyk rozwijał wyobraźnię czując na każde drgnięcie współczesności. Tak powstały jego powieści i nowele osnute na hellenistycznych tematach. Tak, w 1960 roku, zabrzmiał jego dramat „Medea”.

Zaczął pisać wcześnie. Jeszcze przed maturą, w 1912 roku, wydał pierwszą swą książkę o Janie Jakubie Rousseau; jeszcze w gimnazjalnym mundurku układał pierwsze swe krytyki teatralne. Z przeżyć młodzieńczych, z rozterki i niepokoju na tle filozoficznym i życiowym, wysnuł jedną z najgłośniejszych swych powieści, „Niebo w płomieniach”. Do jeszcze wcześniejszej epoki swego życia — przeżyć dzieciństwa — sięgnął w „Zegarze słonecznym” (1952); którego urok mogą poznać także i zagraniczni czytelnicy, dzięki przekładowi ogłoszonemu po francusku w wydawnictwie Del Duca pod egidą „Unesco”. Na wstrząs drugiej wojny światowej i hitlerowskiej okupacji — odpowiedział nasz pisarz opowiadaniem o tymu „Wrześniowa noc” (1962) oraz powieścią „Powrót do życia” (1961).

Powieściopisarz i erudyta, jest też Parandowski znakomitym essayistą. Wyobraźnia, przenikliwość i wiedza złożyły się na książki o Anatolu France, o tragicznych kolejach losu Oscara Wilde’a, o wędrownikach i niezwykłym życiu Petrarce, o znaczeniu Flauberta, o nowatorstwie Joyce’a. W sam warsztat pisarstwa, w jego analizie, sięga Parandowski w swej książce „Alchemia słowa” (1955).

Niezrównany urok pism autora „Nieba w płomieniach” i „Króla życia” stwarza jego styl. Składa się nań wirtuozeria w posługiwaniu się słowem fraza musująca, błyszcząca, piana wielobarwna, kolorowa, a przy tym kryształowa, przejrzysta i czysta.

Wojciech Natanson

CZKAWKA W MINUCIE MILCZENIA

OSTATNIO mieliśmy przykład osobliwego „nyschematyzmu” w traktowaniu rocznic literackich. Bez precedensu w powojennym dwudziestoleciu. O ile te „normalne” są okazją do — w najgorszym razie zdawkowego — przypomnienia, o tyle ta „jubileuszowa”, dziesiąta posłużyła niemal do poszczenia na cenzurze. Stało się tak w wypadku dziesiątej rocznicy śmierci Galińskiego, która minęła 6 grudnia 1963 r.

Oto „Kultura” w numerze 26 z dnia 6 grudnia 1963 r. pod tytułem „Galiński. Poezja współczesna” zamieściła wypowiedzi uczniów jednej ze szkół warszawskich egzekwowane jako wypracowania szkolne na zadany temat. Dajmy na to, że pomysł jest całkiem doręczny, jako że ważne jest wiedzieć, co młodzież — wkrótce zasadniczy konsument poezji — sądzi o poecie jednym z najbardziej dyskutowanych. Wprawdzie na tej samej zasadzie można by się zwrócić do Ligi Kobiet, jako że kobiety to więcej, niż połowa ludności naszego kraju, ale darujemy adreśata. Chodzi o treść wynurzeń. Co mówią zapytani? Jeden: „Z poezją współ-

czesną i w ogóle z poezją spotykam się rzadko”. Drugi: „Nigdy mnie poezja nie interesowała i wątpię, żeby kiedykolwiek zainteresowała”. To wszystko pod tytułem „Galiński” i to wszystko z racji 6 grudnia. Inny jeszcze przyznaje, że z całego znanego mu dorobku Poety tylko jeden wiersz wywrócił na nim „Jakie takie” wrażenie: „Śmierć inteligenta”. Pozostanie zagadką, dlaczego wypowiedź tę redakcja uznała za znaczącą dla recepcji Galińskiego, z nie jako objaw aberracji zainteresowań artystycznych u młodego pokolenia. Czy tak samo wart uwagi byłby głos wymieniający Mickiewicza jedynie jako autora „Powrotu i ty”? Wypadałoby też nie wzbogacać dorobku Poety utworami, których nigdy nie napisał. Najwnikliwi badacze puściły Galińskiego nie wykryła w niej wiersza „Mitka”.

Bezwzględny i niedościgniony rekord dezygnolury w druku ustanowił jednak Jarosław Marek Rymkiewicz. W ankiecie „Twórczości” (grudzień 1963) na temat Galińskiego i Tuwima pisze on: „Ktoś śmiały strofować Zmarłych? Ale Zmarli nie są, niestety, bez winy...” i Galiński, i Tuwim byli poetami lirycznymi niewysokiego lotu, poetami, których wszędzie widać... itd. Istotnie, co krok to „Niobe”, „Pieśni”, „Siódma jesień”. I jaka szkoda, że autorzy wybrali się w przedwczesną śmierć: ile mogłoby uniknąć błędów dzięki Jarosławowi Markowi. Szkoda — oczywiście dla nich. Bo Jarosław Marek mógłby w dziesiątą rocznicę ich śmierci wyrazić się o nich nieco taskawiej.

Tylko — w czym tkwi zysk, jeśli głuchy okłaskuje Mozarta. Bo jest wiadome, że decydujące dla percepcji poezji jest coś, co się nazywa poetyckim słuchem. Inie wystarczy szermować „zrytotelemem” i „mitem”, by ów słuch wykazać. Dowód nieposiadania go to właśnie czysto filologiczna, czysto terminologiczna zgroza przed „słowikiem” i „księżycem”, zanim

się cokolwiek usłyszało. Pozostanie rzeczywicie tylko „wyswiechtany rekwiwit”. Wtedy na chwałę własnej głuchoty powtarza się zwrot o poezji dla Matysiaków. Niestety, dziesiątki anty-Matysiaków mogą być autorami setek tomów wierszy ani na krok przez to nie zbliżając się do poezji. Głuchy potrafi zdeprecjonować nawet Szopena z tej racji, że znajduje w nim ton o wysokości „a”. Właśnie „taki sam”, co w znanej piosence o kotku.

W jednym ma rację J. M. Rymkiewicz. Kiedy mówi o niechęci do myślenia o wierszu. Ale o tej niechęci to raczej by w czasie teraźniejszym. A najbardziej tym jego przykładem jest „Plebiscyt poetycki” urządzony jesienią 1961 przez „Nową Kulturę”. Na wokandy plebiscytu znalazł się m. in. wiersz „Spinoza był pszczołą” zaczynający się od słów:

Tu nas nie było.

Platon był pajakiem.

Tu nas nie było.

Spinoza był pszczołą.

Ten pajak i pszczoła przeszły się po wszystkich strofkach, nie przyniosły jednak czytelnikowi ani miodu, ani pajęczyny. Co za Platon-pajak? Co za Spinoza-pszczoła? Przypiska do wiersza nie było. Dopiero „aha” przyszło po wyjaśnieniu Janusza Wilhelmiego. Otóż: w książce Karola Poppera „The Open Society and Its Enemies” jest mowa o tym, że spo-

czeństwa dzielą się na otwarte i zamknięte. Otwarte to jakieś, a zamknięte to inne. Spinoza był zwolennikiem pierwszego, Platon — drugiego. No i oto ukryty, ale niewątpliwie sens wiersza, a z nim nowoczesność poezji. W związku z tym mam pewną propozycję do autora zacytowanego wyżej entomologiczno-filozoficznego utworu, Jarosława Marka Rymkiewicza. W dziele dra Andrzeja Mostowskiego pt. „Logika matematyczna” (Warszawa — Wrocław, 1948), w rozdziale „Prosta teoria typów”, na str. 217, znajduje się zdanie: „W wyższym rachunku funkcyjnym nie mamy ani aksjomatów ekstensjonalności, ani aksjomatów definicyjnych”. Czy nie wspaniały punkt zaczepienia dla nowego wiersza? Znaleźć (a i zrozumieć) będzie jeszcze trudniej.

Spośród wielu orzeczeń dotyczących poezji pewne jest to, że nie jest nią mechaniczne, choćby „kunsztowne” nagromadzenie elementów. Poezja to nie piętro nad prozą. To mowa inna. I swej inności tak pewna, że nie musi jej dowodzić rebusem, czy labiryntem. Nie musi się obawiać „zwytego” słowa, bo z chwilą, kiedy je podejmuje, już zmienia się jego semantyka. Dokonała się fosforescencja, której nie dostrzega zakuty w „mit” poetycki daltonista. Ale wśród daltonistów zdarza się ślepiec. Temu należy się biały lasek. Choćby miał nią raz na dziesięć lat włożyć odwet za swe kalectwo — na głowach dalekowidzów.

Zygmunt Mikulski

TO nie będzie literatura — lecz proza życia. A ponieważ życie składa się przede wszystkim z faktów, najpierw więc kilka takich faktów. Zdziających, zaskakujących, oburzających.

FAKT NR 1. W samym środku Lublina stoi gmazysko Dyrekcji Okręgowej PKP. Gmazysko — bo to i obryzanie i architektonicznie obrzydliwe, ciężkie, bez wyrazu. Nie wiem, ilu urzędników zatrudnia lubelska DOKP. Ale do którego pokoju zaglądnę — aż się serce kraje. Ze tu urzęduje się tak wygodnie, można powiedzieć luksusowo, że tyle miejsca poświęcają korytarze i halle, że w pokojach luźno jak nigdzie. Aż się serce kraje przy porównaniu z innymi instytucjami, marznącymi w barakach, gdzie pracownicy mają po trzy, a nie raz cztery razy mniej miejsca niż tu. Ale główny powód gniewu leży gdzie indziej. Początkowo budynek ten miał kosztować 26 mln zł. Tyle zatwierdzono w pierwszych planach. Ale potem zaczęły działać dziwne siły. Budynek rozrósł się w gmazysko, z 26 mln zrobiło się 56 mln i roboty jeszcze trwają. W pewnym okresie nawet Ministerstwo Komunikacji zorientowało się, że w Lublinie wyrasta jakaś hydra — i nakazało wstrzymanie robót. No, ale trudno było rozwałać mury. Ktoś coś komuś wytłumaczył, ktoś się zgodził, zdjęto więc przewidywany dach i budowę poprowadzono dalej.

FAKT NR 2. Przed dwoma laty pod Lubartowem wybudowano siedmioklasową szkołę podstawową. A jakże — z elektrycznością, kotłownią centralnego ogrzewania, wodociągiem. Tyle, że niemal w przededniu otwarcia z przerażeniem stwierdzono, iż wiesz nie jest zelektryfikowana i że nie ma wodociągu. Linia elektryczna przebiegała 7 km od wsi, a wody trzeba było szukać kilkadziesiąt metrów pod powierzchnią ziemi.

FAKT NR 3. W powiatowym mieście Krasnystaw też budowano szkołę. Graniczyła ona z miejscową cegielnią. Użycie do budowy produktu sąsiada byłoby jednak zbyt proste. Sprowadzono więc cegłę z odległości ponad 400 km. Tak przynajmniej mówią dokumenty, według których planowano.

FAKT NR 4. W Radzynie, jak w wielu innych miastach powiatowych, jest przedsiębiorstwo budowlane. W ostatnich miesiącach roku z kredytów przyznanych na budowę różnych szkół, zwróciło ono kilkaset tysięcy zł. Bo zima, bo brak robotników, bo zbyt mała „moc przerobowa”. Mówi się trudno. Aliści w listopadzie w banku zjawił się rachunek wystawiony przez to przedsiębiorstwo za budowę zupełnie nowej, nigdzie w planie nie figurującej szkoły. Suma niemal identyczna z tą, którą przed kilku tygodniami zwrócono.

FAKT NR 5. Przed 6 czy 7 laty w Kraśniku rzucono piękną z pozoru inicjatywę: ponieważ stary szpital jest mały, budujemy nowy w czynie społecznym. Zebrano nawet, w gotówce, materiały i robociznę, coś około miliona zł. Rozpoczęto budowę wielkiego obiektu wartości kilkudziesięciu milionów zł. Aliści wkrótce pokazano, że nie sposób w czynie społecznym nawet całego powiatu wybudować tak wielkiego i skomplikowanego obiektu. Budowę musieli przejąć państwo, ale ponieważ nie była ona przewidziana w planie, na jej podtrzymanie trzeba było obcinać kredyty czterem innym budującym się szpitalom. W rezultacie żaden do dziś nie jest czynny, a ten w Kraśniku będzie najwcześniej za 3 lata.

FAKT NR 6. Zarówno stary, źle zabudowany, oraz tu i ówdzie rozlatujący się pod naciskiem wieków Lublin, jak i jego nowa, dynamicznie rozwijająca się substancja, wymaga szczególnej troski architektów. I jestem pełen podziwu dla niezwykłej pracowitości jednego z nich, przekraczającej nawet granice, dostępne dla geniusza. Bo poza swoimi obowiązkami potrafi on zmieścić w codziennych zajęciach także jeszcze funkcje: wykładowcy w pewnej wyższej uczelni technicznej, inspektora nadzoru w Nalęczowie, inspektora nadzoru budowy Domu Nauczyciela w Lublinie oraz sprawować nadzór autorski na budowie jeszcze jednej szkoły w Lublinie. Dla tej ostatniej zresztą polubił szczególne zasługi. Ponieważ dwa biura projektów, w których zapewne nie posiadał znajomych, odmówiły wykonania dokumentacji dla tej szkoły, opracował ją sam wraz podległymi sobie pracownikami z wydziału. Z zatwierdzeniem przez tenże wydział oczywiście kłopotów nie

Sześć faktów i jeden wniosek

JERZY DOSTATNI

było. Gorzej było z honorarium. Bank odmówił wypłacenia ponad 100 tys. zł, gdyż to było sprzeczne z przepisami. Cenę więc obniżono do 70 tys. zł. Wynagrodzenie było bardzo marne, nie więc dziwnego, że nie zrobiono bardzo wielu rysunków roboczych, że w dokumentacji co kawalek, to czegoś brak, więc trzeba uzupełniać, lub coś jest źle, więc trzeba poprawiać. W dzienniku budowy tyle rysunków, że przypomina on raczej podręcznik projektowania lub rysunki małego Kazia — co kto woli. No, a za te uzupełnienia i poprawki nadzorującemu autorowi trzeba płacić, bo przecież dokumentacja projektanta została już dawno zatwierdzona i zapłacona.

Uff — chyba starczy, chociaż podobnych przykładów można by przytoczyć jeszcze więcej.

Nie piszę tego wszystkiego po to, aby pognać inwestorów, projektantów czy budowlanych. Nie o to przecież chodzi. Jest zbyt dużo przykładów ich dobrej, pożytecznej roboty — (kilka z nich na końcu), aby potępiać wszystkich i wszystko w czambuł. Kiedy jednak czytałem materiały z XIV Plenum KC PZPR, sądziłem początkowo, że w głosach wielu dysku-

tantów jest trochę przesady. Ale gdy zacząłem szukać w pamięci i dziennikarskich zapiskach, gdy w odpowiednich instytucjach i instancjach zapoznałem się z faktami, okazało się, że całe Plenum jakby się zajęło naszymi, lubelskimi inwestycjami. A czy nie chodziło także o inwestycje w białostockim, kieleckim czy rzeszowskim — niech sobie odpowiedzą sami czytelnicy tych rejonów.

A więc przede wszystkim — planowanie. Szybki wzrost gospodarki narodowej, stałe podnoszenie się poziomu życia i wiele innych spraw składa się na to, że szczególnie silnie odczuwamy braki, jakie narastały w naszym kraju w ciągu wielu wieków ciężkiej historii. W ciągu 19 lat przegoniliśmy już wiele państw, ale nasze ambicje kończą się gdzieś w górnych rejonach czołówek światowej. To dobrze, to świadczy o naszej dynamice. Rzecz w tym, aby do tej czołówki dochodzić w sposób rozumny, zdyscyplinowany, według z góry opracowanego planu. Tymczasem my lubimy improwizację, partyzantkę, nie wytyczyliśmy jeszcze do końca zaściankowości, zbyt często jeszcze pa- trzymy tylko na własne, lokalne podwórko.

I na tej właśnie pożywce, jak mi się wydaje, wyrosło popularne powiedzonko: aby się zaczęło o plan. Gdy plan czegoś nie przewiduje, używamy wszelkich możliwych sposobów, aby w tym planie umieścić „swoją” obiekt. Przez kumoterstwo, obejście lub złamanie przepisów, cichcem lub z uzyskanym podstępnie poparciem jakiejś wysoko postawionej osobistości. Miała być zbudowana w Lublinie pływalnia zimowa. Koszt ok. 9 mln zł. Budowlani powiedzieli: zrobimy w ciągu 2 lat. A ponieważ w Lublinie poza ściekami, które nazywają się rzeką Bystrzyca brak miejsca do kąpielii, plan dał się zahaczyć. Ale wtedy i zakres rzeczowy budowy zaczął pęcznić z dnia na dzień. Przybyła wielka sala, rozliczne pomieszczenia boczne, skomplikowane instalacje itd. Z 9 mln w założeniach zrobiło się 25 w projekcie wstępnym, potem 33 w tzw. zbiorczym zestawieniu kosztów, a teraz jest już 39 mln zł. Tyle, że o próbnej kąpielii nawet mowy być nie może, choć minęły już trzy lata.

Napisalem już, a w przyszłości także napiszę, dużo dobrego o naszych projektantach. Ale podanego wyżej „faktu nr 6” zrozumieć nie mogę. Jak i tego przykładu chociażby, że niektórzy nasi projektanci potrafią wykonywać 395 proc. normy obowiązującej zwykłego inżyniera — jak to można odczytać na ich listach płacy. Przy tej ostatniej lekturze niepokojących pytań jest więcej. Oto były dyrektor dużego przedsiębiorstwa — otrzymywał ok. 5 tys. zł miesięcznie. Po-

(Dokończenie na str. 12)

„Kurtyna zakolysała się gwałtownie, lecz nie uniosła się ani trochę wyżej; Widownia zachichotała. Pani Porter popatrzyła na wujka Toma, Wuj Tom zaś rozglądał się wokół, zacierając ręce i śmiejąc się z zachwytem. Przez jakiś czas dźwięczał mały dzwonek, przypominający sygnał ulicznego sprzedawcy buleczek w dość długiej ulicy, rozległy się szept, stukał młotek, powielokrotnie wołanie o gwoździe i o sznurki, aż wreszcie kurtyna podniosła się, odsłaniając pana Semproniusza Gattletona, solo — w stroju Otella”.

Coś z tej atmosfery przedstawienia opisanego przez Dickensa powtarzało się wszędzie, bez względu na narodowość, wiek, język i miejscowość, w jakiej amatorzy, pełni co prawda zapału, lecz bez właściwego przygotowania, oddawali się gorliwie sztuce aktorskiej. Niewątpliwie od czasu Dickensa wiele się zmieniło — i chociaż pokutuje jeszcze na pewno styl określany pojęciem „amatorszczyzna” — to w artystycznym ruchu amatorskim nastąpił znaczny skok jakościowy. Na zmiany te wpłynęło wiele czynników społecznych, cywilizacyjnych i politycznych. Jak zagadnienie ruchu amatorskiego wygląda w Polsce?

Na to pytanie nie znajdziemy na pewno jednoznacznej i bezapelacyjnej odpowiedzi. Jest różnie. Dobrze i źle. Dobrze, że ruch amatorski skupia 125 tysięcy osób w 7.072 zespołach. Złe, że nie we wszystkich zespołach mamy wartościowy repertuar i utrzymanie na zadawalającym poziomie wykonanie aktorskie. Do tych danych liczbowych dodajmy od razu jeszcze inne: mamy obecnie 3.856 instruktorów artystycznych, wśród nich 48 proc. to sily wykwalfikowane, 36 proc. przeszkolone, a 16 proc. to osoby bez żadnego przygotowania.

Liczbę liczbami, a przecież nie mamy całkowitej pewności, czy pojęcie „wykwalfikowany” pokrywa się w tym wypadku w pełni z bardziej wyostrożonymi kryteriami oceny, jeśli idzie o zasób wiedzy i umiejętności posiadanych przez tych wysoko notowanych w statystyce instruktorów. Raczej mamy wątpliwości.

Przy wszelkich jednak zastrzeżeniach jesteśmy przekonani, że ruch amatorski, który całkowicie uważano za zbędny i „dojrzały” do likwidacji, oparł się tym niewczesnym zakusom i nie tylko nie zdradza chęci wycofania się z życia społecznego, lecz przeciwnie, nabiera rozpędu i ma do zainicjowania na swym koncie niemałe i ciekawe osiągnięcia. Z jednej strony działał nadol naturalne potrzeby ludzi, którzy pragnęli własne zamilowania i nabyte umiejętności wykorzystać w swoim środowisku, jak również działalność instytucji popierających ten ruch w zakresie swoich funkcji na terenie domów kultury, w klubach czy świetlicach. W tej sytuacji moglibyśmy z optymizmem patrzeć w przyszłość, gdyby do końca i konsekwentnie zostały zrealizowane słuszne postulaty, jakie postawiono na ogólnopolskiej naradzie zespołów oświaty i

upowszechnienia kultury CRZZ, która odbyła się w grudniu ubiegłego roku. Na naradzie tej powiedziano m. innymi:

„W świetle dzisiejszych potrzeb kadrowych polityka kształcenia i doskonalenia instruktorów winna iść w dwóch zasadniczych kierunkach, wzajemnie się uzupełniających, jednak ujętych w odrębne systemy szkoleniowe.

POGLĄDY I PRZEGLĄDY

Obrona amatorów JERZY GEMBICKI

Pierwszy kierunek obejmowałby szkolenie czysto zawodowe instruktorów niewykwalfikowanych, posiadających dłuższy staż pracy, pewne umiejętności zdobyte na różnych kursach lub drogą samokształcenia oraz utalentowanych osób początkujących. Organizacja takiego szkolenia polegałaby na tworzeniu zainteresowanym możliwości uzyskania formalnych uprawnień do prowadzenia zespołów amatorskich, co automatycznie równałoby się z regulacją ich wynagrodzenia, bez potrzeby przeprowadzania specjalnych weryfikacji. Tryb szkolenia powinien być elastyczny, dostosowany do możliwości uczestników, bez odrywania ich od zasadniczej pracy zawodowej.

Najlepszym tego rozwiązaniem byłoby zorganizowanie w każdym województwie (i niektórych większych miastach powiatowych), przy państwowych szkołach artystycznych, skróconego, wieczorowego lub zaocznego nauczania przedmiotów artystycznych w zakresie średniej lub wyższej szkoły artystycznej.

Drugi kierunek dotyczy samego poradnictwa, którego zadanie polegałoby na udzielaniu stałej, codziennej pomocy metodycznej, repertuarowej, materiałowej wszystkim czynnym kierownikom zespołów, bez względu na poziom ich kwalfikacji. Uważamy, że systematyczne poradnictwo winno się opierać na doświadczeniach najlepszych instruktorów. Warto by również rozważyć możliwość tworzenia w województwach klubów instruktorów poszczególnych dyscyplin artystycznych, jako płaszczyzny inspiracji ideowej i artystycznej, oraz w celu wymiany doświadczeń”.

Rozważając możliwości rozwojowe ruchu amatorskiego nie możemy zapomnieć o tym, że w naszych czasach dokonuje się rewolucja kulturalna, na której usługach stoją nowoczesne środki masowego przekazu, jak radio, telewizja, film i nagrania płytowe. Nie od-

bywa się to bez wpływu na kształtowanie smaku, upodobań i gustów ludzi próbujących później własnych umiejętności aktorskich i muzycznych. Dlatego też repertuar nie może odbiegać od tych wzorców, które upowszechniane są przez zespoły zawodowe, narzucające swój styl i swój model artystyczny dostępnym każdemu widzowi czy słuchaczowi w Polsce. Wszelka próba podrobienia staroświeckich schematów pogłębi tylko nie najlepszą sławą cieszącą się poczynań zastugujące na pejoratywne określenie „amatorszczyzny”.

Tam, gdzie amator odnajduje współbrzmienie z tym, co należy do obszaru prawdziwej i autentycznej kultury artystycznej, powstają zaskakujące swym poziomem i świeżością przedstawienia zespołowe i indywidualne. Sprawdzianem są eliminacje zespołów amatorskich i występy cieszące się powodzeniem w całym kraju. Z takich grup amatorskich mamy po- każny zastęp znanych piosenkarzy, muzyków, kompozytorów i tancerzy. I tu warto zwrócić jeszcze uwagę na jeden aspekt tej sprawy. Cieszymy się z publicznych sukcesów najlepszych zespołów, cenimy ten nieograniczony rezerwa: nowych talentów, nie lekceważymy jednak podstawowej wartości tkwiącej w samej istocie ruchu amatorskiego. Myślimy o wiazaniu poprzez pracę w zespołach dziesiątków tysięcy młodzieży, która znajduje tu najlepszą formę wykorzystania wolnego czasu, łącząc z godziwą rozrywką możliwości pogłębienia swojej kultury duchowej i umysłowej.

Toteż z prawdziwą satysfakcją cytujemy jeszcze raz opinię CRZZ w poruszanej przez nas sprawie:

„Mówienie dzisiaj o kryzysie ruchu amatorskiego jest niczym nie uzasadnione. Nie ma takiego kryzysu. Istnieje natomiast aktualna potrzeba coraz większego wprowadzania do ruchu amatorskiego elementów tego, co nazywamy nowoczesnością w działalności kulturalno-oświatowej.

Nowoczesność w naszej dzisiejszej działalności kulturalnej polega na wprowadzaniu wszystkich elementów wychowawczych w działalność kulturalnej do udziału w procesie przeobrażenia świadomości, postaw i stosunków społecznych. Polega ona równocześnie na stosowaniu metod najszerszego oddziaływania społecznego, przy jednoczesnym uwzględnianiu indywidualnych potrzeb i zainteresowań. Polega wreszcie na włączaniu nowoczesnych urządzeń cywilizacyjnych w realizację wychowawczych i społecznych zadań, jakie stoją przed działalnością społeczno-kulturalną...

„Należy więc wyrabiać wśród amatorów nie tylko nawyki i potrzeby czynnego uprawiania sztuki, lecz również czynnego, świadomego jej odbioru. Poszerzając i wzbogacając skąpy odczuć estetycznych amatorzy nauczą się szukać własnych środków wyrazu, dokonywać świadomego wyboru w dziedzinie przeżyć estetycznych i umiejętności wartościowania”.

Oflag w Dössel (2)

WINCENTY KAWALEC

Wewnętrzne życie obozowe było jednostajnie męczące. Mycie się pod studnią zimną wodą, śniadanie — kawałek chleba z margaryną lub bez, czarna lura zwana kawą. Obiad — najczęściej ziemniaczanka lub stary smierzący dorsz. Kolacja — tzw. „ziółka”, to jest woda zmieszana z jakimś suszonymi roślinami.

2—3 apele, a poza tym różne zajęcia osobiste. Dla większości to nauka, kursy dokształcające, nauka języków obcych itp. Niektórzy używali się w działalności kulturalno-oświatowej, artystycznej, najczęściej w teatrze obozowym lub orkiestrze. Teatr obozowy i orkiestra cieszyły się ogólnym zainteresowaniem i uznaniem. Grano tam sztuki wymagające dużego przygotowania aktorskiego. Oczywiście role kobiece były kreowane z największym zainteresowaniem i pamiętamy, że były bardzo udane. Mam jeszcze przed oczyma takie ogłoszenie: „Dziś, wtorek o 15.00 próba „Zolnierza Madagaskaru”. Role kobiece — prosimy nie zapominać przynieść piersi”. Poważnie rozwinięte było malarstwo grafika obozowa, miniatury, wyroby z kości itp.

Trzeba wyraźnie podkreślić, że te zajęcia, wieczny ruch, praca umysłowa, utrzymywały dobrą kondycję psychiczną, chroniły przed załamaniem i wyzwały nowe myśli, idee i pozwalały zapomnieć o strasznej rzeczywistości. Temu należy przypisywać, że nie było zbrodni seksualnych, aktów rozpaczliwych i znaczna większość jeńców po powrocie do kraju mogła się od razu włączyć w rytm twórczej pracy na różnych stanowiskach.

Istniejące w latach 39/40 załamanie z powodu klęski wrześniowej, upadku Francji i szybkich początkowo zwycięstw niemieckich, ustąpiło wraz z wstępującą wierz w klęskę Niemiec. Mało też było wypadków wyrzeczonych się polskości. Problem volksdeutschów był bardzo żywo komentowany. Znam tylko kilka wypadków zgłoszenia się na listę volksdeutschów. Miało to miejsce zaraz po wojnie i należy przypuszczać, że byli to szpiedzy niemieccy jeszcze sprzed wojny. Opinia publiczna zresztą bardzo surowo osądziła tego rodzaju wypadki, tak że po pierwszym pobiciu dwóch volksdeutschów przez ich kolegów, Niemcy, na żądanie wszystkich jeńców, zdrącejów odizolowali. Gorszi byli tzw. v-manner (ludzie zaufani), którzy się nie demaskowali i donosili Niemcom, co się dzieje w obozie.

Stwierdzam, że bardzo dużo jest przesady w twierdzeniu o głodzie seksualnym i głodzie tytoniowym. Ja oświadczyć np. palenia odлучylem się w czasie 30-dniowego pobytu w areszcie obozowym i nie chciałem już do tego palenia wracać później, gdyż papierosy konieczne mi były jako pieniądze wymienne na ubranie cywilne. Dużo jest również przesady w opisywaniu spraw honorowych, zatarci, pojedynków itp. Wypadki rozstrzygnięcia spraw w oparciu o kodeks honorowy Bożewicza zdarzały się na początku wojny, ale miały one na ogół charakter poważniejszy niż to w „Eroice” czy w innych utworach pokazano.

Osobliwie widzę, że ten często wymiśniany, sztuczny, na pewno zresztą przesadzony, kodeks honorowy był pewnym hamulcem w popelnianiu różnych nietaktów, a nawet awantur.

Stosownie do postanowień konwencji genewskiej, którą podpisali zarówno Polacy, jak i Niemcy, jeńcom wojennym wolno uciekać z obozu. W myśl prawa międzynarodowego fakt ucieczki z obozu jeńckiego nie może stanowić podstawy do karania jeńca. Wykształcił się pogląd, że jeńca wojenny może, a jeśli odpowiednio warunki powstaną, to powinien, uciekać. Ucieczka została uznana jako fakt będący przejawem walki z wrogiem, czyli wypełnieniem żołnierskiego obowiązku, przerwanej siłą wojny. Znałe są wypadki ucieczki z niewoli — Tułaczewskiego, Churchilla, Girauda i innych. Tymczasem wbrew wyraźnym przepisom prawa międzynarodowego, zwyczajom honorowanym przez wszystkie cywilizowane narody i normom ludzkiego postępowania, Niemcy wydali rozkaz zamordowania każdego schwytanego zbiegłego jeńca wojennego. Była to tzw. „Kugel Erlass” — akcja K (Kula).

Ucieczki z oflagów można podzielić, z punktu widzenia metody, na dwie

grupy. Pierwsza — to ucieczka okazjonalna. Były to ucieczki zazwyczaj pojedyncze — w zwalczaniu brudnej bielizny, pod samochodem, w przebraniu żołnierza niemieckiego, przy wyjściu na roboty po zamianie się z żołnierzem itp. Największym naszym wyczynem obozowym z tej grupy było wyjście 7 jeńców w przebraniu żołnierzy niemieckich. Ta prawdziwie filmowa ucieczka, która poruszyła wszystkie obozy, najbardziej zrytowała Niemców.

Otóż dobrze mówiący po niemiecku oficer polski przebrał się w mundur niemiecki, założył zrobiony z drzewa i odpowiednio pomalowany karabin na plecy i pojawił się, korzystając z odpowiednich warunków, przy wartowni, przy bramie wyjściowej ze sfaloszowanymi dokumentami, wraz z sześcioma jeńcami, których miał według rozkazu odprowadzić do miasta. Rozkaz rozkazem — sprawdzono i przepuszczono go przez bramę. Cały ten konwój dojechał do Poznania i dopiero tam został rozpoznany i aresztowany.

Druga grupa ucieczek, najbardziej trudnych, ciężko wypracowanych — to ucieczki przez podkop. Budowa podkopu trwała normalnie 4—5 miesięcy. Wypadków ukończenia podkopów nie było więcej niż 5—6% w stosunku do rozpoczętych. Udanych ucieczek było jeszcze mniej. Najczęściej podkopy były wykrywane przez specjalistyczną obsługę — „kretów”, którzy stale śledzili, mając do pomocy specjalnie szkolone psy, za podkopami. Od czasu gdy odsłonięto podłogi baraków, prowadzenie podkopów spod baraku było bardzo utrudnione. Największym problemem przy większych podkopach było ukrycie ziemi z podkopów. Drugą trudnością było rozwiązanie problemu wchodzenia i wychodzenia z podkopu. Niemcy byli bardzo bezwzględni w razie schwycenia przy pracy w podkopie. Przed naszym przybyciem — został w podkopie w Dössel zastrzelony jeden z oficerów angielskich. Oficjalnie Niemcy ogłosili, że udusił się przy zawałeniu się podkopu, ale ciała nie wydali. Praca w podkopie była bardzo wyczerpująca. Wymagała dużej siły, dużej odwagi i wytrwałości. Była to praca wielokrotnie cięższa niż w kopalni.

Niezwykle ciekawy i charakterystyczny wypadek zdarzył się w Murmau. Grupa tamtejszych oficerów-jeńców wykonała podkop pracując ponad 2 tysiące godzin, ale go nie wykorzystano z wyższych względów. Podkop miał być wykorzystany na wypadek desantu, masakry w obozie itp. Trzeba przyznać, że jest to przykład dużej społecznej dyscypliny i przełożenia sprawy dobra ogólnego ponad sprawy własne czy grupowe. O ile bohaterstwem było wykonanie podkopu w tych warunkach, to nie mniejszym było oddanie go dla wyższych celów.

Jednym z głównych organizatorów tego podkopu był ppor. Janusz Wieczorek — obecny szef Urzędu Rady Ministrów.

W Dössel próbowałem ucieczki trzykrotnie. Dopiero jednak trzecia próba dała rezultaty.

Pierwsza próba w Dössel, a druga w ogóle, próba ucieczki miała miejsce wczesną wiosną 1943 r. Mój kolega R., ciężko chory na oczy, wychodził w drodze wyjątku do Warburga, do okulisty. Ponieważ w obozie nie było okulisty, Niemcy zezwalali na to od czasu do czasu grupie 5—6 ludzi. Na wiosnę 1943 r. poszedłem z tą grupą na nazwisko owego kolegi R. Miałem wyrzuty sumienia, że w ten sposób tracę on okazję leczenia swych chorych oczu, ale skorzystałem z jego własnej propozycji. W czasie wyjścia do okulisty poznałem droge, rozszedłem, gdzie jest stacja, a zwłaszcza poznałem metodę badania chorych przez lekarza i rozkład jego domu. Postanowiłem uciekać przy najbliższej okazji w ten sposób, że przyjdę do okulisty z ukrytym cywilnym ubraniem, w czasie gdy wartownik będzie w poczekalni z innymi, ja wyjdę po badaniu z gabinetu na inny korytarz, przez boczne drzwi wyjdę do ustępu, przebiorę się w cywilne ubranie i wyjdę bocznym wyjściem jako cywil. Rozkład jazdy zdobyłem przy pierwszym wyjściu, tak że za pół godziny od wyjścia do okulisty mogłem jechać w pociągu.

Plan był prosty i dobry. Wprawdzie okulista przejrzał kartę choroby mego kolegi i zapuścił mi do oka tak silną dawkę atropiny, że o mało w ogóle nie oślepiłem, ale wyjście otwierało poważne perspektywy. Energetycznie za-

krzątnąłem się wokół zgromadzenia potrzebnych pieniędzy, ubrania itp. W przeciągu niecałych dwóch miesięcy byłem gotów. W pierwszych dniach ma'a znowu zgłosiłem się do okulisty jako mój kolega R. Tym razem ubranie cywilne miałem na sobie bardzo ściśle przywiązane sznurem do mego ciała, by nie odstawało pod mundurem, który był w tym dniu pożyczony od wyższego wzrostem kolegi. Trzeba przyznać, że polski lekarz, który mnie badał, wiedział o moim zamiarze i tak dobrał chorych, aby mi ucieczkę ułatwić. Rewizja na wartowni o siódmej rano była dość powierzchowna i — za chwilę wyruszyliśmy do Warburga.

Wartowników było dwóch. Pociążyłem się bardzo, gdy usłyszałem, jak się umawiali, że jeden z nich pójdzie do apteki w czasie mego pobytu u okulisty. Około dziewiątej byliśmy przed domem okulisty.

Jakież było moje zaskoczenie i rozpacz, gdy na drzwiach domu przeczytaliśmy: — „Przepraszam wszystkich moich klientów, ale nagle musiałem wyjechać na pogrzeb syna, który padł na froncie”. Napis zawirował mi przed oczyma. Co z ubranem? Rewizja przy wejściu do obozu była zawsze bardzo dokładna. Zostawiłem ubranie u okulisty w ustępie wydawało mi się zbyt dużą stratą. Plan ucieczki zawiodł

całkowicie. Zaryzykowałem powrót. I cóż to była za radość gdy po powrocie zdziwionemu dowódcy wartury nasi wartownicy zameldowali, żeśmy się nigdzie nie zatrzymywali. W tej sytuacji rewizja nie była dokładna. Sprawdzano nam tylko kieszenie. Ubranie było uratowane. Postanowiłem uciekać za wszelką cenę przy najbliższej okazji. Pałace jest w takich wypadkach ubranie cywilne. Ono „wola” o decyzję ucieczki — stwarza psychiczną atmosferę jej konieczności.

Pewnego dnia przyszli do mnie Adam Rapacki i Jan Drewnowski z zapytaniem, czy nie mógłbym im podać jakichś adresów postępowych organizacji albo ludzi w Sosnowcu lub Zagłębiu. Zorientowałem się, że chcą uciekać. Ta rozmowa podziałała na mnie bardzo optymistycznie i utwierdziła w przekonaniu, że trzeba się szybko zdecydować na ucieczkę. W pewien wiosenny dzień zauważyłem, że na skutek roztopów obsunęła się ziemia niedaleko drutów i odsłoniła otwór z dość dużych drenów, którymi spływała woda. Trzeba było zbadać, czy tu nie utworzyła się jakaś możliwość. Ubezpieczony przez kolegów wszedłem do drenu. Niestety! O ile ostatni człon drenu był o dużej średnicy, to dalsze były zbyt małe, by je w ogóle można było wykorzystać...

START „KAMENY”

(IV)

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

Numer mickiewiczowski miał stanowić jakby ukoronowanie naszej rocznej działalności słowiańskiej i materiał do niego zbierałem w ciągu ostatnich kilku tygodni nawiązując kontakty z tymi literatami czy naukowcami narodowości rosyjskiej, ukraińskiej i słowackiej, którzy w taki czy inny sposób mogli się przyczynić do wzbogacenia tego wybitnie słowiańskiego zeszytu. Chodziło mi o to, aby numer ten był niejako hołdem złożonym wielkiemu poecie, profesorowi literatur słowiańskich w Collège de France, nie tylko przez Polaków, ale i przez innych Słowian.

Z entuzjazmem do mego pomysłu odniósł się Sergiusz Kulakowski, docent literatury rosyjskiej na Wolnej Wszechnicy w Warszawie i lektor języka rosyjskiego w różnych wyższych uczelniach. Pozostawałem z nim w kontakcie listowym od marca i, jak już wspominałem, w majowym numerze zamieściłem jego pracę. Przesłał mi więc zamówiony artykuł „Dzieła Adama Mickiewicza w przekładach na język rosyjski” oraz własne tłumaczenie rozdziału XVI „Książki Pielgrzymstwa”. Wydrukowałyśmy je cyrylicą w języku rosyjskim. To właśnie było moją innowacją: w polskim miesięczniku zamieścić teksty mickiewiczowskie w języku tłumaczy. Nie obawiałem się pstrokacizny, a wiedziałem, że taka właśnie publikacja wyraźnie podkreśli słowianofilizm kulturalny „Kameny”. Toteż obok tekstów rosyjskich (oprócz „Książki Pielgrzymstwa” jeszcze fragment ks. I „Pana Tadeusza” w przekładzie W. Benediktowa i „Stępy akermaniackie” w interpretacji A. Feta) znalazły się i ukraińskie — tłumaczenia Maksyma Rylskiego tychże „Stępów” i fragmentu koncertu Wojskiego w IV ks. „Pana Tadeusza” oraz słowacki przekład Stanisława Mečlara z tej samej księgi od słów: „Gdybyś, głupi niedźwiedziu, w mateczniku siedział” do początku gry Wojskiego na rogu. Mečlar napisał również do tego zeszytu artykuł „Literatura czeska i słowacka wobec Mickiewicza”. Sporo trudności nastęrczył druk przekładu słowackiego, ponieważ Bronfeld nie miał odpowiednich członków ze znakami diakrycznymi. Lataliśmy ten mankament posługując się, jak w polskim, podwójnymi literami: sz, cz. Wyglądało to trochę dziwnie, ale nie było innej rady. Jeszcze jednym wkładem słowiańskim do tego numeru był artykuł W. Doroszenki nadesłany ze Lwowa „A. Mickiewicz w literaturze ukraińskiej”.

Artykuł wstępny „O „nowe śluby” z „Panem Tadeuszem” napisał Jan Nepomucen Miller, wreszcie oddźwięki Mickiewicza na Zachodzie przedsta-

wił Józef Mondschein w dwóch artykułach: „Na marginesie książki „Adam Mickiewicz et la pensée française” i „Mickiewicz w Danii”. Numer uzupełniły wiersze na cześć twórcy „Pana Tadeusza” chełmskiej grupy młodzieży literackiej „Przymaty”, do której wchodził mój wychowanek, oraz wkładka linorytowa Waśniewskiego przedstawiająca Mickiewicza według współczesnego mu dagerotypu. Zamykaliśmy rocznik artykułem programowym redakcji „Spojrzenie wstecz”.

Jeśli chodzi o poezję zachodnioeuropejską zapoczątkowaną w numerze pierwszym „Ostrokolami” Apollinaire'a, to w ciągu tego roku oprócz przekładów z francuskiego zamieściliśmy również — z angielskiego (tłum. F. Arnsztajnowa i S. Helsztyński) i włoskiego (tłum. J. Kurek i ja).

A w jaki sposób poza treścią niektórych wierszy akcentowaliśmy nasze poglądy lewicowe i sympatie socjalistyczne? W związku z wypadkami w Austrii zamieściliśmy na czele numeru marcowego pod przekładem znanego wiersza Verhaerena „Głowa” (z cyklu „Les Débauches”) wyraźne oświadczenie w tej sprawie redakcji: Brzmiało ono: „Nieziomnemu bohaterstwu robotników, którzy w obronie wolności ginęli na barykadach Wiednia, Linzu, Steyera i innych miast austriackich — Męczennictwu Münchreitera, Weissla, Wallischa i ich towarzyszy, którzy meźnie śmierć hańbiącą po wieki ich katów przyjęli — Niewinnej krwi starców, kobiet i dzieci, ofiar zwierzęcego okrucieństwa, roztrząskanych przez kule armatnie Heimvechry — hold składa redakcja „Kameny”. W notach życzliwie omawialiśmy także pismo, jak „Lewar”, które rozpisano ankietę w sprawie procesu o podpalenie Reichstagu.

W dziale „Pro urbe sua” dużo miejsca poświęciliśmy recenzjom teatralnym o występach zespołu amatorskiego i o przedstawieniach regularnie odwiedzającego Chełm Teatru Wolińskiego pod dyr. Al. Rodziewicza. Każdy numer (z wyjątkiem 6, gdzie znalazła się „Droga na szczyt” Władysława Uklej) zdobyła wkładka linorytowa Waśniewskiego przedstawiająca różne fragmenty Chełma i jego zabytki. Grafika Zenka, co przyznawano i w recenzjach, i w korespondencji ze mną, z każdym zeszytem stawała się lepsza, a przecież dotychczas był on przede wszystkim malarzem. Bronfeld dał się przekonać i zakupił trochę czołonek petitowych, dzięki czemu stronie „Kameny” optycznie nie były tak monotonne. Każdy numer miał okładkę innej barwy. Pamiętam, jak w końcu czerwca rozłożyłem na otomianie dziesięć zeszytów mieniących się kolorami tęczy. Pięćdziesięcioletni mój uradowany ich barwnością przekładał numery zmieniając ich kolejność. Czyż wtedy, ciesząc się, że żywot pisma nie okazał się efemeryczny, że nie tylko zamknęliśmy pierwszy rok wydawniczy, ale po wakacjach rozpoczęliśmy i drugi, mogłem choćby na chwilę przypuścić, że we wznowionej już po wojnie „Kamenie” będę drukował także wiersze syna?

GORZKIE SPRAWY

(Dokończenie ze str. 1)

którą zresztą na pewno natychmiast polamią. Ludzie uśmiechają się dyskretnie, przedstawiciel organizacji wybuchając głośnym śmiechem. „Ma pan sędzia rację: rzeczywiście polamią, nawet sam to mówiłem na zebraniu”. „Włec?” Młody człowiek rozkłada ręce: „A cóż my możemy zrobić, jeżeli sąd jest bezradny. Zresztą nas jest tylko dwóch w powiecie na etacie, inni się nie poczuwają”.

5. W O. po długich staraniach uruchomiono kiosk. Nawet dobrze zaopatrzone. Od dzienników do miesięczników, od pasty do zębów do perfum, od nici i igieł do wymyślnych guzików, od widokówek do środków antykoncepcyjnych.

I właśnie się zaczęło od tych ostatnich. W O. wywołały one piorunującą reakcję. Run na kiosk. Starzy, młodzi, mężczyźni, kobiety, niedorostki.

Kupowano do różnych celów. Najmłodszy nabywca puszczał balony na lekcjach. Ekspedientka w kiosku: „Jestem od tego, abym sprzedawała towar”. Nauczycielki: „Jeśli pani kierownicza nie zareaguje, wyjedziemy z O. Nie możemy pokazać się na ulicy, coraz trudniej prowadzić lekcję”. Rodzice na zebraniu: „Niech zakażą sprzedawać. A co my możemy, jak szkoła nie poradzi?” Władza: „Nie histeryzujcie, moi drodzy. Trzeba jakoś wybrnąć. Poczekajmy. Minie pierwszy szal (!), ludzie się przyzwyczają, wszystko wróci do normy”. Kierownik instytucji, która uruchomiła kiosk: „Nie wiedziałem, że w O. jest aż tylu konserwatystów. A uprzedziłem mnie, że tu osada zacofana. Moi drodzy, środki antykoncepcyjne to też kultura. Zapamiętajcie sobie”. Ktoś z sali: „Nocnik też, proszę pana, ale się go nie wynosi na widok publiczny”. W sali śmiech, żarty. Wieczorem przed kioskiem znów tłok, jeszcze większy. Ekspedientka: „Sprzedalam cały towar. Dobry utarg”.

6. Rozmowa na temat życia seksualnego. Spór coraz gorętszy. X. oskarża Y. o czyny niemoralne, o perwersję. — Perwersja? Moi drodzy, przestańcie myśleć kategoriami dwiętnastowiecznymi. Tylko człowiek o wyrafinowanej kulturze zdolny jest

do perwersji w życiu seksualnym. Trzeba wreszcie położyć kres pruderi i mieszczańskim mitom. — Y jest swego rodzaju autorytetem. Wszyscy milczą, zakłopotani. Kto ich tam wie? Może i na tym froncie nastąpiły radykalne zmiany? Jakoś się nie słyszy o postępie w tej jedynej chyba dziedzinie. Włec może istotnie...

7. Skromny pracownik na niewysokim szczeblu: „Walka z chwastami? Jakże to, panie, obliczyć? Owszem, prowadzimy, ale żeby zaraz w cyfrach? Nie mogę tak z powietrza. Postaram się obliczyć, za ścisłość jednak nie odpowiadamy”. Szef: „Głupstwo, mój drogi. Powiedz w przybliżeniu, rozumiesz? Ja muszę mieć dane dzisiaj, jutro robię zbiorczy raport. Sta-tys-ty-ka, człowieku. Kto tam czyta cyfry. A jak czyta, to też się nie zna. No? A widzisz, jak przemówiłem do rozumu, zaraz znalazłeś. Tylko nie zaniżaj, braciśku”.

Fakty oczywiście autentyczne. Prawdopodobnie można je mnożyć, uzupełniać. I co z tego?

Zalamujemy ręce (nie zawsze) i posuwamy się dalej. W epoce naukowych, ścisłych terminów, znaleźliśmy i na tę chorobę właściwą, nawet trafna nazwa: znieczulica. Ale diagnoza nikogo jeszcze nie wyleczyła. Poza tym bowiem posiadamy wszystkie dane: jest i dobre rozeznanie, i z zamkniętymi oczami wskażemy środowisko, w którym wyległa się choroba, ba, rozporządzamy potężnym arsenałem środków, które teoretycznie powinny wyleczyć każdego pacjenta, wiemy też, co najmniej od czasu ukazania się „Ludzi bezdomnych” o skuteczności profilaktyki. I nic. Nie pomaga. Nasi „pacjenci” też je znają. Właśnie użyłem metody dobrej, skutecznej w stosunku do jednego z moich „pacjentów”. Odpowiedział natychmiast szantażem. „Stoczę się w jeszcze większe bagno, albo popełnię samobójstwo i będzie pan mnie miał do końca życia na sumieniu. Aha”. Skapitulowałem, zdając sobie sprawę, że działam wbrew rozsądkowi. Cóż zresztą pomogą pojedyncze sukcesy?

Współpracuję lub obserwuję działalność wielu organizacji społecznych. Jaki jest ich dorobek wychowawczy? Konkretnie: ilu ludziom pomogły one „na zakreć”? Ilu uchroniły od śliskiej ścieżki, ilu podały ręce w odpowiedniej chwili? Na szczeblach centralnych i wojewódzkich mamy wysoko kwalifikowanych, powszechnie znanych działaczy we wszystkich organizacjach społecznych i młodzieżowych. W powiatach znacznie gorzej.

Oto autor jednego z nich pisał: „Dość chyba niespodziewanie posyłam „Kamienie” wiersz (...), przychodzi od człowieka mało znanego. „Kamena” stała się teraz poetycką Mekką. W ślad braci starszych wędruję — w ten oto sposób tłumaczę i pomysł posłania wiersza i tego listu. Pomysł przyszedł dziś, chwaliłem się nim Janowi Kottowi — wyraził obawę, że wiersz pójdzie w kolumnie najmłodszych, jako iż nas wszędzie chętnie za młodzieńskich poczytują i klepią po łopacie”. „Nas” — autor listu, Włodzimierz Pietrzak, ma na myśli grupę poetycką przy Klubie Artystycznym „S”, do której należał m. in. również Jan Kott i Ryszard Matuszewski. Ich debiut poetycki — wspólny tomik wierszy omawiał —ZW— (Waśniewski) w nrze 5 „Kamieny”. Obawy, że „wiersz pójdzie w kolumnie najmłodszych”, okazały się niesłuszne: drukowaliśmy bez żadnych zastrzeżeń utwory wszystkich trzech S-istów, ale najwięcej Włodzimierza Pietrzaka, z którym pozostawałem w korespondencji. Któż mógł przewidzieć jego bohaterską śmierć po latach dziesięciu w powstaniu warszawskim!

Kiedy przygotowując numer mickiewiczowski zwróciłem się do Jana Nepomucena Millera, autora głośnej, przed kilku laty wydanej rewizjonistycznej „Zarazy w Grenadzie”, z prośbą o artykuł do tego zeszytu, związany z „Panem Tadeuszem”, otrzymałem od niego ujmujący list, w którym między innymi pisał: „Artykuł o Mickiewiczu chętnie napiszę i prześlę Panu przed 10 maja. „Kamena” natomiast pozwolę się sobie zająć w jednym z felietonów krytycznych. Pomimo pewnego przeładowania liryką pismo jest b. ciekawe i godne najgorętszego poparcia. W Warszawie jest, niestety, mało znane”.

A Czernik w czerwcu prosił o „przyjęcie gratulacji z powodu szczęśliwego zakończenia jednorocznej kampanii. Numer mickiewiczowski „Kamieny” jest godnym zamknięciem roku i zdaje się jedynym poważnym uczczeniem stulecia w prasie literackiej. Proszę mi wierzyć, że „Kamena” jest już obecnie pierwszą pozycją w „bieżącej” historii literatury, mimo wszystkich jej braków (bo i te są). Jest to faktem, z którym — niestety — długo jeszcze wszystkie nasze oficjalności literackie nie będą mogły się pogodzić, — i nie będą mogły zrozumieć, jak nie rozumie tego Chełm. Chełm można by ostatecznie usprawiedliwić, ale paradoksem jest, że nie ma tysiąca złotych na utrwalenie bytu tego pisma. Podobne pismo, wyłącznie poezji oddane, chciałem założyć u siebie, w Ostrzeszowie, niestety, nie mogę pokonać pierwszych trudności — po prostu z powodu braku kilkuset złotych. Cieszę się, że Pan umiał to zrealizować. Jeżeli uda mi się jednak i moje pismo uruchomić, sądzę — że będziemy się uzupełniać”. Była to zapowiedź mającego się ukazać w niespełna rok później miesięcznika „Okolica Poetów”.

Kazimierz Andrzej Jaworski

niję — działa już wyłącznie aktywnie społecznie, na zasadzie judyzmu, dobrej woli, żarliwości. Jak dotychczas nikt nie podważa tej zasady. Czy słusznie? Wiele spraw, wiele uświęconych tradycją zjawisk poddajemy rewizji. Ta pozostaje ciągle niezmienna. Przed kilkoma laty napisałem artykuł pt. „Nadmiar prezesów”. Przynajmniej połowa urzędujących prezesów przez rok miotala na mnie pioruny. W końcu w wielu organizacjach odwołano etatowych, powierzono im funkcje honorowe, a na ich miejsce ustanowiono urzędy sekretarzy etatowych. Powiedziano: teraz prawdopodobnie będzie lepiej. W takim razie, jeśli inaczej nie można, niechże każdy przewodniczący (sekretarz) każdej organizacji społecznej i młodzieżowej, składając sprawozdanie za rok ubiegły, załączy imienny wykaz swojego aktywnego społecznego, to jest tego zespołu ludzi, których przygotował osobiście do skutecznej pracy wychowawczej w terenie. Wówczas cyfry przestaną być mitem. Odnajdziemy bowiem w dzielnicy, osadzie czy gromadzie ludzi, którzy przez swoje nie-dbalstwo, lekceważenie społecznych obowiązków, przez „znieczulicę”, dopuścili do wzrostu przestępczości. Nie będziemy umieszczać ich nazwisk na tablicy. Udowodnimy im, że mają twarzą na peryferiach ciała, że bodźcem ich działania społecznego jest snobizm, oportunizm lub kariera.

Przewodniczący Frontu Jedności Narodu, Aleksander Zawadzki, w swoim przemówieniu noworocznym szczególnie ostro podkreślił nasze trudności na polu wychowawczym. Wolno sądzić, iż był to gorący apel do nas wszystkich, do działaczy społecznych, młodzieżowych, do publicystów, do prasy, o podjęcie skutecznego działania, o poddanie rewizji dotychczasowych metod, o stworzenie jednolitego frontu walki o wysoki poziom moralny i etyczny młodego pokolenia.

Nie rozdzieram szat. Wiem jednak, ile zła może dokonać wykołona jednostka nawet w najzdrowszym środowisku, jeśli nie zastosuje ono w porę skutecznych, radykalnych środków zapobiegawczych. Czy to tak trudno? Chorych przecież liczymy na promle. Najwyżej. Pozostali są zdrowi. Za tę statystykę ręczę. Nie ręczę natomiast, czy nauczycieli się w ciągu dwudziestu lat domagać się od młodych (i nie tylko od nich), aby — bez nawiązki, ale i bez taryfy ulgowej — oddali narodowi tyle, ile od niego otrzymują.

Waldemar Babinicz

PRÓBA AWANSU

(Dokończenie ze str. 2)

na jakąś konferencję w województwie zaprosili. A kiedy już była decyzja, wysunięto kandydaturę, no i tak przeszła...

Tu coś gorąco. Jak w zabawie dziecięcej w zimno i gorąco. Zacofanie, rolnik, więc chyba chodzi o rolnictwo, poziom życia. Wsie widziałem tutaj bardzo biedniackie, choć podobno z hektarami nie tak źle.

Jest. Sedno. — Czy pan wie, że w 56 roku zebrano plonów czterech podstawowych zbóż przeciętnie tylko 10 q z hektara? A przeciętna wojewódzka 16 q była niższa od przeciętnej krajowej? To był chyba najbardziej zacofany teren kraju. Nawet śladu oświaty rolniczej, może w sprawozdaniach powiatowych, ale na wsi nikt agronoma nie oglądał.

Tak, poziom produkcji rolnej, oświaty rolniczej, to zadecydowało o stworzeniu powiatu. Z terenów dawnego powiatu sokólskiego i części augustowskiego. Przecina Biebrza. To też jeszcze problem.

— Wsie powoli się przyzwyczajają do Dąbrowy, jako centrum. Owszem, było tu jakieś centrum targowe, szczególnie słynne targi na konie, typ konia sokólskiego, nawet z Węgier przyjeżdżają. Jeszcze kłopot z tymi zza Biebrzy. Mają bliżej tu, niż do Augustowa. I lepsza komunikacja. Ale stonki między ludźmi, wie pan, uprzedzenia, tamci są Mazurami (mówią tu, że żona do obiadu tylko mądra, bo Mazurka — jak kto się żeni z kobietą stamtąd), tych nazywają ruskami, ale powoli uprzedzenia mijają. Kółka rolnicze pracują, więc powoli się zmienia, mieliśmy już i 15,5 q z hektara, a to dużo, jeśli się weźmie pod uwagę uprzedzenia do nawozów sztucznych, czy uprawy mechanicznej. Chce pan jeszcze cyfr?

— Nie, chcę ludzi. Ludzi, którzy z uporem windują awans powiatu i awans

miasta. Nie ma. Ludzie dopiero rosną, może za kilka lat. Dąbrowa liczyła 1300, teraz 2000, przyrost ośmioletni nieduży, ale bo i poza nowymi urzędami o pracę niełatwo. 6 bloków zórowskich zamieszkuje 120 rodzin, przeważnie urzędniczych, kilku lekarzy, powstała spółdzielnia mieszkaniowa, raczej jej załóżek, bo mało osób. Od początku mówi się o zbudowaniu mleczarni, POM-u, jest już dokumentacja techniczna, może w planie pięcioletnim, ale to znów limity inwestycyjne. A najważniejsza w tej chwili dla miasta jest przetwórcia owoców i warzyw (panie, tu jabłka gniją, nie ma gdzie wysyłać). Ma zaledwie lokalizację, choć dalały zatrudnienie największej ilości osób.

Kłopoty jak wszędzie. Tylko że wyrastające do olbrzymich rozmiarów ze względu na sytuację wsi, która jest centrum. Powinna być centrum przemysłowym i kulturalnym terenem, inaczej nie będzie nigdy miastem. Chociaż jest kawiarnia i nawet piją kawę, nie piwo. Ale to moda, w wielu wsiach są kluby-kawiarnie, tylko że we wsiach garną się na odcypty w tych klubach, a tu jest miasto, nikt inaczej nie mówi, nawet w sąsiednich wsiach. Włec kawiarnia to kawiarnia i nie poza kawą, jak w prawdziwym mieście, chociaż lokalnie na świetlicę brak.

Włec mamy już sedno, sekretarz się spieszy, to jeszcze uścisk prawicy sekretarza. Może ja coś pomogę i napiszę, żeby wiedzieli, gdzie trzeba, że chodzi o awans. Ze rolnictwo się dźwiga i nawet chałupy murowane powstają. Sekretarz odprowadza mnie do drzwi i do samochodu. Teraz dobra komunikacja i z Białymstokiem i wszędzie. Cieszę mnie to a najbardziej cieszę, że i człowieka znalazłem, nie tylko cyfry. Człowieka, któremu sprawa tego awansu tak bardzo leży na sercu.

Zbigniew Ślęczka

Z wielu listów związanych z tym okresem przytoczę tu fragment paru.

Jak dokonano zamachów na poprzedników Kennedy'ego

STANISŁAW BIAŁKOWSKI

KIEDY 22 listopada 1963 r. w mieście Dallas padły strzały skierowane do prezydenta Johna F. Kennedy'ego, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej stały się po raz piąty, na przestrzeni minionych 98 lat, wiodącą krwawych zamachów na swych politycznych przywódców.

Wiosną 1865 r. Północne Stany odnosiły decydujące zwycięstwa w wojnie secesyjnej nad zbuntowanym „Południem”. Prezydent Abraham Lincoln — ideowy przywódca walki o likwidację niewolnictwa Murzynów i ponowne zjednoczenie Unii, stał u szczytu swej chwały, uznany za narodowego bohatera równego Washingtonowi. Kandydując ponownie na prezydenta z ramienia partii republikańskiej osiąga pełny sukces wyborczy i rozpoczyna drugą kadencję swych rządów.

Już 9 kwietnia 1865 r. naczelny dowódca wojsk południowych stanów, gen. Robert Lee, w imieniu Konfederacji składa broń, a kilka dni później, 14 kwietnia, prezydent Lincoln znosi blokadę Południa, kładąc tym samym kres czteroletniej krwawej wojnie domowej.

Tegoż dnia wieczorem stolica państwa — Waszyngton — odświetlone iluminowana czcila zwycięstwo. Tłumy wyległy na ulice miasta w radosnym uniesieniu. Lincoln wraz z małżonką przybył na galowe przedstawienie do teatru.

Łoża prezydenta nie była zamknięta ani strzeżona, dzięki czemu bez trudu wtargnął do niej zamachowiec, John Wilkes Booth, zawodowy aktor, reprezentujący wsteczne poglądy ekstremistów z Południa. Wznosząc okrzyk „koniec tyranii” oddał z pistoletu strzał w głowę Lincolnowi, przeszedł barierę łoża sasiadującej ze sceną, zbiegł za kulisy i bez przeszkód opuścił teatr przed którym oczekiwali nań towarzysze z gotowymi do ucieczki koniami.

Kula wystrzelona z bliska przebiła czaszkę rozrywając komorę boczną mózgu. Mimo iż postrzał biegł w sąsiedztwie ważnych dla życia ośrodków nerwowych, śmierć 56-letniego prezydenta nastąpiła dopiero po upływie 9 godzin od zamachu.

Wszelkie wysiłki lekarzy były z góry skazane na niepowodzenie. Jednakże ich postępowanie byłoby dziś pożyteczne za błąd w sztuce lekarskiej. Jedynie świadomość, iż wówczas nie znano jeszcze pojęcia aseptyki, czy antyseptyki, usprawiedliwia takie zabiegi jak usuwanie skrzepów z tkanki mózgowej nie mytymi rękami i zglebnikowanie toru pocisku niesterylną sondą. Zaniechano koniecznej w tym wypadku transfuzji krwi, gdyż czynione dopiero pierwsze próby w przetaczaniu kończyły się zazwyczaj tragicznie na skutek niezamoczenia zagadnienia grup krwi.

Zbiegły morderca w dwunastym dniu pościgu został zastrzelony przez sierżanta kawalerii, a schwytani żywcem czterej współtowarzysze zawieszili na szubienicy.

Kontynuatorem postępowych reform wielkiego prezydenta został jego następca Andrew Johnson (sic!).

2 lipca 1881 r. do przechodzącego przez waszyngtoński dworzec linii kolejowej Baltimore — Potomac, 50-letniego prezydenta Jamesa A. Garfielda oddał z bliska dwa strzały w plecy zamachowiec Charles J. Guiteau. Pierwsza kula przebiła jedynie palto, druga zaś wniknęła przez dziesiątą przestrzeń międzyżebrową po stronie prawej.

Walka lekarzy o życie prezydenta trwała 79 dni przynosząc okresową poprawę jego zdrowia. Jednakże 19 września nastąpił nagły zgon poprzedzony napadem ostrych bólów w nadbrzuszu i halucynacjami wśród objawów rozprzestrzeniającego się zakażenia ogólnego (ropień podprzeponowy i ropne zapalenie ślinianki przyusznej prawej).

Sekeja zwłok wykazała, iż kula spowodowała złamanie 12-tego żebra i pierwszego kręgu lędźwiowego, przeszła obok prawej nerki aż pod lewy brzeg trzustki, uszkadzając po drodze ściankę tętnicy śledzionowej. Za bezpośrednią przyczynę zgonu uznano pęknięcie pourazowe tętniaka tętnicy śledzionowej oraz zakażenie ogólne (sepsę).

I tym razem stosowane metody diagnostyczne mające wskazać lokalizację pocisku i zmiany w kościec, bez znajomości promieni Roentgena, okazały się bardzo niedoskonałe, lub wręcz szkodliwe, gdyż pogłębiały infekcję rany i rozprzestrzeniały zakażenie.

Do pomocy zawezwano nawet głośniego fizyka, odkrywcę telefonu, Aleksandra G. Bella, który za pomocą zrównoważonego układu indukcji elektromagnetycznej próbował bezskutecznie zlokalizować pocisk.

Z górą 11-tygodniowe bezskuteczne wysiłki lekarzy spotkały się z ostrą krytyką prasy i społeczeństwa.

Morderca prezydenta nie usiłował zbiec, ujęty na miejscu zbrodni, został wkrótce stracony na szubienicy.

W roku 1895 u południowo-wschodnich wybrzeży Stanów Zjednoczonych, na wyspach morza Karaibskiego, lud kubański powstał zbrojnie do walki wyzwolenczej przeciw tyranii despotycznych rządów kolonizatorów hiszpańskich. W tym czasie (1896 r.) prezydentem Stanów zostaje republikanin William McKinley.

Ameryka wobec konfliktu kubańskiego pozostawała dłuższy czas neutralna. Stosunek jej do ruchów wolnościowych skierowanych przeciw Hiszpanom był wówczas jednak bardziej niż przychylny. W okresie rodzących się tendencji imperialistycznych panowanie potęg hiszpańskich na obu oceanach omywiających swymi wodami wybrzeża Ameryki traktowano jako bezpośrednie zagrożenie interesów politycznych i gospodarczych Stanów Zjednoczonych. Gdy więc w 1898 r. stojący w kubańskim porcie Hawana amerykański okręt wojenny został przez Hiszpanów zatopiony wraz z 260 członkami załogi,

(Dokończenie na str. 10)

„Przyznaje, dużom się nagaślił...”

J. Tuwim

WIEC to już dziesięć lat minęło od tego najsmutniejszego grudnia. W przedzieniu nieczem zapraszał Konstanty do siebie Julię Hartwig i matkę. Nie wiem, dlaczego, nie mogłyśmy przyjąć.

— Szkoda — powiedział — myślałem, że zrobimy sobie lubelski wiecior. A nazajutrz rano Julia zadzwoniła z niepewną wiadomością, że Konstanty nie żyje. Niepewną, bo nie chciałyśmy z początku wierzyć.

Natalia Galszczyńska opowiadała, że jednym z pierwszych, kto zjawił się w domu żaloby tej niedzieli, był Julian Tuwim. Przyjechał natychmiast wzburzony i przejęty.

— Umarł poeta większy od mnie — miał wtedy powiedzieć wielkodusznie.

Długo nie ruszono nic w pokoju Konstantego, tak charakterystycznym dla niego, łączącym karnawalowe rekwizyty z uroczystym święczeniem i oprawnymi a często otwieranymi tomami klasyków poezji. Tylko we wglębieniu poduszki, na której spoczywała głowa zmarłego poety, leżała zawsze garść kwiatów.

Pamiętam wysoką, słabą, odwiewaną przez wiatr nutę skrzypiec na pogrzebie Galszczyńskiego i piękne przemówienie Jarosława Iwaszkiewicza, który ma wielki dar dać zawsze odpowiednie rzeczy słowo. Mówił o szczęściu poety i jeszcze: „Nieprędko ziemia polska żyzna dla poezji — wyda takiego poety...” To przemówienie da się gdzieś odnaleźć. Jest pięknym dokumentem rzadkiej w naszych czasach sztuki wymowy.

Kto mógł przewidzieć, że kilkanaście dni potem będziemy żegnać skurczem serca drugiego poety epoki — Juliana Tuwima.

Jego żywość i wybuchowość, wylewna serdeczność i ruchliwość zdawały się nie do pokonania. Trudno było wyobrazić sobie nieruchomą tę postać, żywą jak iskra i zmienną twarz poety o oczach palących się do entuzjazmem, to błyskiem dowcipu i złośliwości.

Zawsze wydawało mi się, że w śmierci poetów jest coś szczególnie okrutnego. Poezja jest nieustanną walką ze śmiercią i oto przychodzi klęska. Dzieło poetyckie zostaje osamotnione i bezbronne, teraz już nie może czerpać nic z uroku samego poety jako człowieka i nie z aury i legendy powstałej wokół niego. Wygasają też powoli snobizmy i przyjaźnie. Puste miejsce po żywym zajmują dziesiątki innych, lepszych, bo żyjących. Umarli jadą szybko — mówi się wtedy. Przechodzą nowe mody, nowe koterie i snobizmy. Jeszcze jakiś czas krytycy i redaktorzy podsycają rocznicowe ogniki pamięci i zachwyty. A młodzież już depcze i tańczy na mogiłach. I nawet nie ma w tym nic złego. To zjawisko naturalne i nie podlegające ocenom moralnym. Ani dobry ton, ani grzeczność, ani nabożny kult wielkości nigdy w literaturze nie rodziły nowych dzieł. Raczej bunt, raczej zaprzeczanie wartościom ustalonym i odwaga samodzielności twórczej.

Dobra to nauka dla zadufanych wieszczów. Jakoś pusto zrobiło się w poezji polskiej po śmierci najwybitniejszych, jakby lek i niemoc ogarnęły tych, co zostali.

Dziesięć lat po śmierci Galszczyńskiego i Tuwima jeszcze dotkliwiej odczuwamy tę pustkę w poezji niż wówczas. Wiele nowości, które wtedy nas emocjonowały, przygasało i nie jest w stanie zapęlić tej dojmującej pustki.

poprawność lorda pomimo zaprzeczeń ironicznie się potwierdza, lecz forma protestu, codzienny wzlot dziwaka ponad opary miasta artystycznie nie może przekonać.

Gomulicki opowiada też o rozpaczliwych wysiłkach Norwida w celu wydania każdej z osobna noweli w postaci cienkiej broszury, przeznaczonej do kolportażu w cenie 1 franka. Makułaturowe wydanie, domokrażna sprzedaż, zebranie o 300 franków pożyczki na druk — to dokumenty ostatniej walki Norwida o ludzką pozycję zabląkanego w Paryżu polskiego cygana literackiego. Przypominają się tu bowiem Sceny z życia cyganerii Murgera, lecz pozbawione tej odrobiny lirycznego humoru, z jaką rówieśnik Norwida przedstawił walkę artysty z nędzą. Humor tego Norwida nigdy nie miał za wiele, w Trylogii włoskiej do reszty wypaliła go bieda.

Cyprian Norwid: „Trylogia włoska”. Wydał z autografu i wstępem poprzedził Juliusz W. Gomulicki, Warszawa 1963 PIW.

Maria Grzędzińska

Listy o poezji

GUSŁA I SZARGANIE

ANNA KAMIENSKA

Zresztą odwiedzamy się powoli od poezji, skoro sami poeci mówią o niej z najwyższym sceptycyzmem. Odwiedzają się też czytelnicy nie widząc jej prawie w prasie literackiej ani śmiech pomyśleć, w gazetach codziennych. Nie widać jej w księgarniach, bo zupełnie nakłady szczupłych tomików wsiąkają niezauważalnie.

Odwiedzają nas od poezji także krytycy, którzy zrezygnowali z problemowych, syntetycznych omówień i którzy zajmują się poezją jakby wbrew sobie, niechętnie, z niesmakiem. Narzędzia młodych krytyków, ich język krytyczny są dla poezji zabójcze. W oddechu tej krytyki ginie żywa materia poetycka, pozostaje suche siano słów.

I oto w rocznicę śmierci dwóch poetów, tak różnych poetów, poetów różnych pokoleń — pojawiło się szereg wypowiedzi o poezji. Przerwane zostało milczenie i choć to tylko z okazji rocznicy — dobre i to.

Najbardziej drastyczne są lakoniczne wypowiedzi poetów opublikowane w grudniowym numerze „Twórczości”, jedynego miesięcznika literackiego w Polsce.

„Myślę, że redakcja „Twórczości” nie popełniła błędów... zaczyna ten cykl wypowiedzi Jarosław Iwaszkiewicz. Redakcja nie popełniła błędów — ujawniając sprzeczne często oceny zmarłych poetów. A przecież najbardziej charakterystyczne są tu nie same oceny. Czytający te wypowiedzi czuje przebiegające między nimi podskórne animozje, nienawiści, rozrachunki, obsesje nie znajdujące ujścia w ubogim ostatnio życiu literackim.

Najbardziej zdumiewające są wypowiedzi autorów, którzy nie przeczytali na nowo wierszy poetów, o których mówią i których wykreślają z literatury. Ta nonszalancja wobec wartości nie sprawdzonych osobistym doświadczeniem, ta tendencja do likwidatorstwa, do ferowania wyroków w imieniu historii literatury coś złego nam przypomina. Jest to niebezpieczne i chyba groźne dla rozwoju naszej kultury.

Ciekawa skądinąd poetka Urszula Kozioł pisze o tym, co sobie myśli „przerzucając” tomy wierszy tych poetów. Zapewne sama nie chciałaby, aby wobec niej zastosowano kiedykolwiek tę samą metodę czytania — przeczuciem. Przy tej metodzie rzeczywistość wszystko widzi się „powierzchniowo” i płasko, przede wszystkim historyczne znaczenie i uwarunkowanie zjawiska literackiego.

Jarosław M. Rymkiewicz wyobraża sobie, że nie byłoby II wojny światowej, że historia potoczyłaby się inaczej, gdyby poeci czynili to, co powinni, zamiast robić to, co robili Tuwim i Galszczyński. Jakże wysokie mniemanie o roli literatury i poezji! „Pisałi kabaretowe piosenki, gdy trzeba było dyskutować Arystotelesa. Dyskutowali politykę, gdy trzeba było dyskutować XX-wieczne teorie mitu... Czas był po temu, by rekreować wielkie mity Morza i wielkie mity Narodu”. Och, jakże zarozumiałe i niepokojące są te wielkie słowa i te wielkie listy!

Takie oto gusta odprawiano ku czci i chwale poetów. Szarganie świętości jest bardzo zdrową polską zabawą, tylko dlaczego tak ponuro i tak patetycznie, i tak wielkimi literami?

Wyobrażam sobie, jakby odprawili to rocznicowe szarganie sami mistrzowie gusiel i satyry — Tuwim i Galszczyński zaprzyjaźnieni na zawsze czasem śmierci.

Artur Międzyrzeczki zwraca rozsądnie uwagę na tę rozrzutność wyrzucania za burtę wartości, które w innej historycznej sytuacji są widziane w inny sposób. Przytacza też na dowód przestrożę chorążego Orzeszko: „Uważaj, stara papugo, bo i tobie tak będzie”.

Przepraszam, jeśli idzie o chorążego Orzeszko, to są już sprawy lubelskie. Brzmiało to w kontekście historycznym trochę inaczej. A jak — proszę spytać Wacława Gralewskiego Chętnie opowie.

TRYLOGIA WŁOSKA

(Dokończenie ze str. 4)

kiem akcydentalną motywację katastrofy, wynikłej stąd, że Róża miała głuchawego ojca, Oskar zaś żonę neuropatki. Zdarzenie to i ta sytuacja stanowią obraz metaforyczny, są upostaciowaniem konieczności. Samą genezę sytuacji głównej mogę zresztą dopełnić drobnym faktem. Ojciec Róży był podobnie głuchy jak ojczym Maril Tróickiej, generał Turno. O głębokim, donośnym głosie Maril, już jako pani Faleńskie, opowiada Aleksander Kraushar w *Polkach twórczych*. Reminiscencja na tle włoskiego krajobrazu noweli wydaje się prawdopodobna.

Najtrudniej mi pogodzić się z *Tajemnicą lorda Singelworth*, zwłaszcza w interpretacji wydawcy. Nie wydaje mi

się, ażeby dowodem szczególnym śmiałości poetyckiej miały być aluzje do higienicznego papierka. Solenne przemówienie lorda na temat asenizacji i kanalizacji w sensie dosłownym nie ma własnie sensu. Protest lorda przeciwko rozpowszechnionemu pojęciu higieny upomina się o czystość moralną, lecz nie tylko o nią. Miasta wzniesione na cuchnących grzęzawiskach trzeba rozważać w kontekście kilku utworów: *Cywilizacji*, *Ad leones*, *Nerwów*, *Ulicy*, *Larwy*. Jest to także w pewnym sensie polemika ze współczesną cywilizacją Zachodu. Może by wtedy wyszło takie uogólnienie: świat współczesny wyrósł na bagnie kłamstwa i poniewierki człowieka. Wskazuje na to zdanie: „Prawda jest, że te i owe muni-cypalności walczą mężnie, lecz ażeby usunąć nieco falangę kału, muszą one całą falangę ludzi zdegradować, zamieniając ich w bryły bez powonienia i bez towarzyskiego wdzięku, i z którymi do stołu siąść nikt nie chce...” (s. 113).

Powierzchniowy ład świata to odczłowieczenie dolnej jego warstwy. Obawa gubernatora Odessy o polityczną

Teatr i varia

(4)

MARIA BEHCZYC-RUDNICKA

wspominki o zeszłorocznej jesieni. A mianowicie: gdy ten i ów teatr wyrusza na występy za granicę, byłoby rzeczą ze wszech miar pożądaną, by kierownictwo nabrało z góry przekonania, że poza sukcesami zawodowymi nie do pogardzenia jest również taki ot uboczny produkt, jak pełniejsza wizja odwiecznych miejscowości.

Chwałę sobie na przykład ogromnie oglądnięcie belgradzkiego Muzeum Teatralnego. Wybrałam się tam na zasadzie prywatnej inicjatywy w towarzystwie Witolda Zarychty, łatwo dającego się namówić i na kulturalne eskapady. Doszłusowało potem jeszcze kilku kolegów i koleżanek, którzy zadali sobie trud wyszukania w sieci ulic niedużej uliczki *Gospodara Jevremova*. Nie ulega atoli wątpliwości, że należało zorganizować zbiorową wycieczkę naszych aktorów do tej „branżowej” bądź co bądź placówki. Ci, co wygospodarowali sobie dwie godziny na *Muzej Pozorišne Umetnosti*, nabyli tu sporo nieobojętnych pojęć o dziejach jugosłowiańskiego teatru dzięki uprzejmym komentarzom dyrektora Muzeum, p. Mileny Nikolić-Jovanović i jej współpracowników. Muzeum ma bogatą płytotekę. Wysłuchanie płomiennej proklamacji poety Branka Lazarevicia, wygłaszanej przez znakomitego aktora Dobrice Milutinovicia w 1908 roku, kiedy imperium Habsburgów dokonało aneksji Bośni i Hercegowiny — to, proszę mi wierzyć, przeżycie niecodzienne.

Nie potrzebuję opisywać budynku Muzeum, który był przed 150 laty siedzibą pierwszego serbskiego uniwersytetu, *Wielkiej Szkoły* — czytelnik ma przed oczyma fotografię. Już ten skromny wizerunek pozwala wyczuć serdeczny nastrój panujący w kameralnym panteonie serbskich ludzi teatru. Na pewno niejednym współczesny aktor z radością by odetchnął tutaj ożywczą atmosferą pietyzmu dla wielkości, talentu i pracy artystycznej. Jest to też klimat bardzo przyjazny Polakom, ponieważ pani dyrektor Nikolić zna Warszawę i Kraków, widziała w Polsce sporo dobrych przedstawień, ma naprawdę wysokie zdanie o polskim teatrze. Spotkanie z nią niewątpliwie podniosłoby na duchu zespół naszej „Królowej przedmieścia” i „Wielkiego Bobby” po zawodzie, jaki mu sprawiła wyniosła rezerwa lublańskiej publiczności.*

Skoro już potrącałam delikatną sprawę straconej szansy większego sukcesu, muszę dopowiedzieć, że Belgrad jej nie przywrócił. Wiadoma rzecz — stolica, jak to się śpiewa w piosence o Warszawie. Stoleczna publiczność, na całym świecie, chce być arbitrem wysokości poziomów artystycznych. Cóż dopiero krytycy i recenzenci. Stąd częstokroć osady z pozycji nader górnych. Toteż można by mieć pretensję do recenzenta belgradzkiej „Polityki”, że unieważnił się trochę pochopnie na wdzięk schillerowskiej adaptacji „Królowej przedmieścia”, i można by z nim dyskutować, gdy ocenia „atomową” sztukę Gruszczyńskiego jako rzecz naiwną, nie dostrzegając w „Wielkim Bobby” drugiego dna: procesu powstawania tyranii, ataku na oligarchów, którzy, dostawczy się do centrum dyspozycyjnego władzy, doprowadzają rzesze ludzkie do sytuacji katastrofalnych.

Powiedziałam — można by dyskutować. Bo niewątpliwie są w recenzjach belgradzkich sporne punkty. Faktem jednak pozostaje, że gościnne przedstawienia Teatru im. Osterwy nie dały w Jugosławii oczekiwanego efektu. O przyczynach tego faktu napomknęłam już w poprzednich odcinkach cyklu „Teatr i varia”, teraz wypada wyciągnąć z doświadczeń wyraźne wskazania na przyszłość. Obowiązuje nas do nich szczerza

przyjaźń kolegów nowosadzkich, okazywana nieustannie na przestrzeni całego naszego pobytu w ich kraju. Więcej — obowiązuje nas przyjaźń narodów Jugosławii do narodu polskiego, o której mówił z nieklamną serdecznością na pożegnalnym spotkaniu w Suboticy p. Edward Nadulski, nie tylko kierownik lubelskiego Wydziału Kultury PWRN, ale i malarz, artysta.

A oto wskazania, jakie się nieodparcie nasuwają:

a) Organizacja podróży zespołu, który wyjeżdża na występy zagraniczne, powinna być nienaganna — tak przemyślana od strony administracyjnej, by aktorzy zachowali kondycję pozwalającą im na przekazanie dzieła scenicznego w najlepszym jego osiągniętym kształcie.

b) Kierownictwo powinno czuwać „po ojcowsku”, żeby atrakcje miast zagranicznych nie odbijały się ujemnie na tejszej kondycji artystów prezentujących naszą sztukę teatralną.

c) Promotorzy zagranicznych występów gościnnych powinni dokładnie orientować się w zainteresowaniach repertuarowych kraju, jak to się mówi, „docelowego” i zadbać we właściwym czasie o wstawienie do repertuaru desygnowanego teatru właściwie dobranych na eksport sztuk.

d) Eksportowane pozycje repertuarowe wszystkie bez wyjątku należy powierzać doświadczonym reżyserom, rezerwując zaprawianiem się młodych aktorów w rzemiośle reżyserskim — dla sztuk granych w domowych pieleszach.

Na razie dość alfabetu. Trzeba na końcu powiedzieć rzecz najważniejszą:

Jeśli powyższe truizmy nie znalazły niestety wyrazu w myśli organizacyjnej kierownictwa Państwowego Teatru im. J. Osterwy, gdy się planowało występy zagraniczne, to powodem tej aberracji stało się w dużej mierze niefunkcjonowanie rady artystycznej.

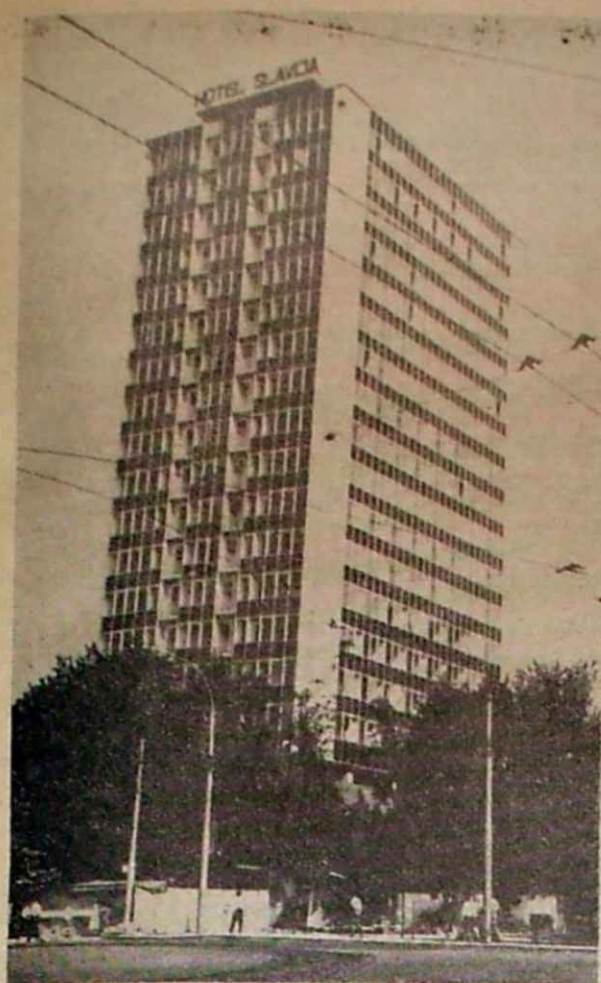
Przeszło pół roku temu, w artykule pt. „Kołatał do drzwi przymkniętych...”, przypomniałam o konieczności ponownego powołania do życia zlikwidowanych rad artystycznych czy też przywrócenia im głosu w teatrach, w których ocalały. Naturalnie chodzi o rady składające się z osób w pełni kompetentnych, innymi słowy nie tylko obeznanych z warunkami pracy danego teatru, z możliwościami jego zespołu, ale i śledzących za literaturą dramatyczną, tj. poświęcających należyty czas jej systematycznej lekturze. Taka rada pozwoliłaby liczyć na rzetelne zabezpieczenie interesów zarówno zespołu, jak widzów, pomogłaby ona dyrekcji przede wszystkim uniknąć błędów repertuarowych, co jest przecie dla teatru sprawą zasadniczą.

Porzucając już temat „jugosłowiański” dla terenu stałej działalności Teatru Osterwy, pragnę zwrócić szczególną uwagę na niebezpieczeństwa wyłącznego planowania repertuaru przez jedną osobę obciążoną takim ogromem odpowiedzialności administracyjnej. Taki styl pracy skazuje dyrekcję przy najlepszych jej chęciach na korzystanie z usług doraźnych, pokątnych doradców, nie zawsze dość wykwalifikowanych, a niekiedy szukających nie tyle dobrych sztuk, ile dobrych ról (dla siebie), czy też materiału do własnej „rewelacyjnej” inscenizacji. Przygodni, nieodpowiedzialni doradcy nie pomogą dyrekcji w zaplanowaniu repertuaru całościowo realizującego jakąś ideę przewodnią, sugerowane przez nich pozycje są przeważnie przypadkowym zygakiem linii repertuarowej (jeśli się ją rzeczywiście usiłuje zawsze nakreślić odstąpiwszy od dość rozpozszechnionego nawyku improwizacji).

Nie zamierzam powtarzać tutaj zeszłorocznych zarzutów lubelskich dzienników pod adresem „planistów” repertuarowych naszej sceny dramatycznej. Nie wszystkie były słuszne. Ale jedno trzeba z bólem serca stwierdzić: w Teatrze imienia Osterwy trwa już zbyt długo permanentny stan poszukiwania... „następnej” sztuki. Dziś wiemy, że w próbach są „Szachy” i „Partita” Grochowiaka, Szekspirowy „Makbet” oraz „Rady pana radcy” Bałuckiego. Niech będzie brawo, ale co dalej? Tajemnica zawiodła? Ejże! Takie „tajemnice” powodują nerwową grę namiętności wewnątrz placówki i niezdrowe rozróbki wśród kawiarnianych kibiców teatralnych. A szerokie rzesze społeczeństwa cierpliwie oczekują wygranej na loterii. Do czasu — jak powiedziałaby wielki Bobby. Reklamowe deklaracje nie wystarczają.

* P. n-ry 21, 22 i 23/4 „Kameny” z ub. roku.

* P. nr 13 „Kameny” z ub. roku.



Belgrad. Hotel „Slavia”

ZACZNIJMY dzisiaj od stwierdzenia, że wybrać formę dzienniczka podróży do jej opisu w dwutygodniku — znaczy zgotować sobie z dobrej woli nie lada kłopot. Intencją wprowadzić zacząć była zachęta, by czytelnik sam wnioskował obiektywnie na bazie faktów i fakićków owej wyprawy teatralnej do Jugosławii, co kiedy zanim dobrnęło się do czwartego odcinka, upłynęło kilka „dwutygodni”, fakty i fakićki uciekły z pamięci czytelnika i w końcu autor musi jednak postawić kropkę nad i. Niechże treść ostatnich moich notatek jugosłowiańskich, opowiedziana jak najwięcej, stanie się kładką prowadzącą do tych nieuniknionych konkluzji.

Pragnę przede wszystkim zaznaczyć, iż Belgrad przypadł bardzo do smaku podróżującemu zespołowi Teatru im. J. Osterwy z Lublina. Miasto jest przytulne, swojskie, a zarazem europejskie. Rozbudowuje się reprezentacyjnie, lecz nie snobistycznie, chyba nie zatraci w tym procesie swej sympatycznej twarzy. Przy okazji snują mi się po głowie nieco dygresyjne refleksje: czym będą się w dość niedalekiej przyszłości różnić miasta ziemskiego globu? Specyfika topograficzna? Układem prefabrykowanych elementów? Miniaturowymi rezerwatami starówek zagubionych wśród tłumów Gulliverów betonowych?

Ale wróćmy do Belgradu. Zakwaterowano nas w Hotelu „Slavia” — właśnie w wieżowcu. Nader komfortowo, tylko wysoko, a jazda windą w dół niezbyt odpowiada memu wnętrzu. Mniejsza zresztą o to, korzystaliśmy z hotelu jedynie w nocy, dzień wypełniało błędzenie w rozpyłce po mieście... Całkiem nieskoordynowane. Wystawy nęcą „bogactwem asortymentem”, kupić nie kupić, popatrzeć można.

Popołudnie już przemieniało się w wieczór, kiedy odnaleźliśmy się nawzajem w autokarze mającym nas zawieźć na dość odległe wzgórze Avala. Niestety! Póki nasz pojazd pokonywał serpentyny obrosłe niewysokimi, lecz parawaniasnymi drzewami, zmierzch skutecznie zamazywał krajobraz, po dotarciu więc na wierzchołek wzgórze nie pozostało nam nic innego, jak dostosować do okoliczności stare łacińskie przysłowie o spóźnialskich.

„Tarde venientibus”... nihil. Otóż mimowolnymi nihilistami stawali się w czasie owej podróży raz po raz. Oczywiście, „wytypowano” nasz kolektyw aktorski nie w celach turystycznych, któż temu zaprzeczy. Niemniej zarysowuje się już tutaj pierwszy wniosek, czy postulat, uaktualniający niniejsze

TOMASZ KRZEWSKI - KSIĘSKI

Zasłuchanie

W plusk deszczu wsluchany
leżąc w ciemności nocy burzliwej
za oknem pada rześkie
i mokrej w połowie
mleć błysk rozjaśniony na twarzy i dłoniach
jak myśl o powoju lub głogu
w kapłące krople mlesza się cichym odbiciem
Księżycowa...

w uszy całując pleszczotą mroku
na poddaszu rodzona ze skrzypiec starych
długim pocałunkiem smyczka
Jak dobrze

samotnym być wtedy

Belgrad. Muzeum Teatralne



URBANIZACJA I JEJ SKUTKI KULTUROWE

szowszczyzna, Białostoczczyzna. Natomiast na Górnym Śląsku, Wybrzeżu, w okolicach Turaszowa, Płocka, Lublina, Tarnobrzega, Krakowa, Poznania, Wrocławia rolnicze obszary urbanizują się. Jest rzeczą godną uwagi, że wieś „urbanizująca się” nie wzoruje się na pobliskim małym miście, ale zwraca swe zainteresowanie ku miastu dużemu, które chce naśladować. Prasa, radio, telewizja, kino, (już coraz częściej stałe, przy najmniej w pobliżu) dokonują na urbanizującej się wsi rewolucji kulturowej. Znika tam zjawisko, które nazywamy „wieś deskami zabita”.

Powaga zagadnienia „ucieczki” ze wsi do miasta w Polsce nie na tym polega, że przypada za mało ludności na jednostkę powierzchni. I nie na tym, że zmniejsza się obszar uprawy. Temu zaradzi, a przynajmniej powinna zaradzić wzrastająca mechanizacja rolnictwa. Zjawiskiem wymagającym głębszej analizy i większej uwagi, celem zapobieżenia jego ujemnym skutkom — jest „starzenie się” wsi. Nie „ludność” w ogóle przenosi się ze wsi do miasta, ale czyni to młodzież, która nie staje się nawet „chłoporobotnikiem”, tylko osiada tam na stałe — mimo że zarobki na wsi miałyby lepsze niż w mieście.

Na wsi zakorzenił się zły ideał „awansu” w drodze urzędowania się w mieście. Wobec zacofania naszej wsi młodzież wiejska zdobywa wiedzę, zawód, nową pozycję społeczną, tytuły kwalifikacyjne w mieście. „Robi karierę w mieście”. Młodzież, która pozostała na wsi, zazdrośnym okiem patrzy na tych, którym „poszczęściło się”. Znika na wsi dawny ideał „gospodarza” — dobra gospodarka, dobry urodzaj, dobrobyt w warunkach gospodarki rolnej, utwierdzają się nowe ideały: ograniczony czas pracy, przyjemność miejskie, a choćby bieżąca woda i kanalizacja. Zjawia się niemal psychoza „ohydy życia wiejskiego”. Młodzież w mieście zamiast żywić uczucia wiejskiego patriotyzmu, przywiązania do swojej wsi, zamiast dążyć do podniesienia jej z brudu i braków kulturowych — po prostu wstydi się własnej wsi, ba nawet swoich krewnych i przyjaciół, z którymi dzieliła dzieciństwo.

Słaba mechanizacja stwarza uciążliwe warunki pracy na roli, a brak „kultury materialnej” — urządzeń komunalnych — brak ośrodków szkoleniowych, możliwości zdobycia specjalizacji rolnej na wyższym poziomie sprawia właśnie to, że element młody, ambitniejszy ucieka do miasta.

Główną dźwignią mechanizacji gospodarki rolnej są kółka rolnicze. Dzięki kółkom rolniczym dokonuje się na wsi przewrót techniczny. Duże są w tym względzie i ambitne zadania administracji rolnej rad narodowych. Powinna ona „aktywnie i zorganizowanie kierować... procesem rewolucyjnym, rozsądnie, po gospodarstwu wykorzystując potężne środki techniczne, zawczasu szkolić kadry mechanizatorów rolnictwa, rozbudować bazę remontową, z obywatelską troską gospodarować wielomiliardowymi środkami przekazanymi (przez państwo) organizacji kółek rolniczych” (E. Ochab).

Podstawowym warunkiem wykonania tego zadania jest doprowadzenie rolników do przekonania o nieodzownej potrzebie i skuteczności mechanizacji gospodarki rolnej. Ażeby ten warunek się spełnił, należy podnieść wiedzę rolniczą przez stworzenie na wsi ośrodków kształcenia w zawodzie rolniczym na różnych poziomach. Zatrzyma to potrzebną część młodzieży wiejskiej na wsi — o ile warunki kulturowe życia wiejskiego nie zohydzą wsi w oczach zdolniejszych i bardziej przedsiębiorczych jednostek. Wieś musi wytrzymać konkurencję kulturową miasta. Tylko racjonalna zabudowa wsi może w sposób istotny podnieść kulturę wiejską. Racjonalna zabudowa nie może nastąpić bez stopniowej likwidacji drobnych i rozproszonych osiedli, które nigdy nie zyskają warunków do podniesienia swojej atrakcyjności kulturowej.

Oczywiście znaczna część ludności wiejskiej będzie emigrować i musi emigrować — takie jest nieubłagane prawo rozwoju — do miasta. W nie tak dalekiej przyszłości — tak obliczają fachowcy — w Polsce na wsi pozostanie mniej niż 20% ludności. Tak być musi, jeśli mamy szlachetnie rywalizować w warunkach koegzystencji z uprzemysłowionymi państwami kapitalistycznymi.

Na razie masowy poziom dzisiejszej kultury wychodźców ze wsi nie jest zadowalający. Stwarza to wielkie trudności dla rozwoju nowoczesnego przemysłu, który potrzebuje robotni-

ków wysoko kwalifikowanych. Oczywiście młodzież emigrująca ze wsi do miasta zdobywać będzie wyższe kwalifikacje w mieście. Dziś wśród różnych trosk większych przedsiębiorstw przemysłowych jedną z ważniejszych jest troska o szkolenie robotników do poziomu wystarczającego w danym przedsiębiorstwie. Na przykład „u Cegielskiego” w Poznaniu od roku 1945 przeszkolono 45 tysięcy robotników w różnych specjalnościach. Stworzono tu cały „kombinat szkoleniowy”: kursy trwające od miesiąca do sześciu, szkolenie warsztatowe, zasadnicze szkoły zawodowe, technika dla pracujących. Ale szkolić skutecznie można tylko kandydatów o odpowiednim poziomie kulturalnym. Założeniem jest, by masowy poziom kultury wychodźców ze wsi był wysoki. Sprawić to mogą tylko głębokie przemiany życia duchowego wsi. Obraz urbanizacji Polski obejmuje wizję wsi przemienionej materialnie i kulturowo.

Jaka jest wizja miasta w tym obrazie? O tym toczy się u nas w środowisku architektów i urbanistów troskliwa dyskusja.

Mimo głoszonej w ostatnich latach decentralizacji i czynionych w tym kierunku niewątpliwie rzetelnych wysiłków, „metropolizacja” życia politycznego, gospodarczego i kulturalnego jest u nas wciąż duża, niebezpieczna dla losów prowincji. W dyskusji stoi alternatywa: czy ulegniemy wyraźnie zaznaczonej w najnowszych dziejach miast ogólnej tendencji i uczynimy z Warszawy miastopotwora, zrodzone z pragnienia gigantyzmu i żądy manifestowania swej potęgi państwowej i cywilizacyjnej, miasto, w którym człowiek czuje się zagubiony i zapomniany w cieniu własnego tworu, miasto zatłoczone przez tłum, pozbawione własnej społeczności miejskiej — czy też cała Polska jak długa i szeroka pokryje się równomiernie osiedlami miejskimi średniej wielkości, będącymi ośro-

kami gospodarczymi, politycznymi i kulturowymi swoich regionów (Zygmunt Bauman: „Warszawa roku 2000. Megalopolis czy Socjopolis”, „Życie Warszawy”, 1963 nr 86)? Rysuje się wizja miast liczących 20 do 100 tysięcy mieszkańców, skupiających jedną trzecią całej ludności miejskiej w Polsce. Miast takich było w 1959 r. 88, a w 2000 r. powinno ich być dwa razy więcej. Miast powyżej 100 tysięcy mieszkańców byłoby również dwa razy więcej to znaczy ok. 50. W tej sieci miast byłoby tylko dwa miasta liczące ponad milion (Stanisław Berezowski: „Proporcja Warszawy”, „Życie Warszawy” 1963 nr 112).

Do tej koncepcji skłania się również Juliusz Goryński (Treść miasta „Przegląd Kulturalny” 1963 nr 11). „Taki program wydaje mi się nieporównanie bliższy socjalistycznym ideałom, niż przygnębiająca, napawająca poczuciem nicości jednostkowego bytu wizja miasta chępiącego się swym wyrafinowaniem technicznym, a nie swymi ludźmi... Głosuję za łańcuchem socjalistyczną prostotą stosunków międzyludzkich i takąż prostotą ich urbanistycznego wyrazu”. (Zygmunt Bauman, op. cit.).

Emanuel Iserzon

GDYBYM BYŁA PRAWDZIWYM PISARZEM

(Dokończenie ze str. 3)

„Zaraz wypełniono nasze legitymacje, pod którymi złożyliśmy podpisy, ja — krzyżkami. I tak ja prawie pięćdziesięcioletnia analfabeta ze wsi, i córka, piętnastoletnia gimnazjalka, entuzjastka, obydwie przycisnęłyśmy tak samo ten ogromny skarb — partyjną legitymację — do serca”.

W 1921 roku wraca Marcjanna Fornalska wraz z dziećmi do Polski, by tu, w Lublinie, rozpocząć zdecydowaną walkę o sprawiedliwość społeczną w szeregach KPP. W tej walce nie była samotna, członkami KPP były także jej dwie córki: Felicja i Małgorzata. Była więc dla nich nie tylko matką, ale i towarzyszką, która dzieliła z nimi dołę i niedole, a nawet celę więzienną. W 1921 roku została aresztowana i skazana na rok więzienia na

Zamku w Lublinie. Po wyjściu na wolność musiała w obawie przed następnymi represjami szukać schronienia w Związku Radzieckim, pozostawiając w więzieniu obie córki. Ale ani ona, ani one nie mogły zrezygnować z dalszej walki.

Kiedy w roku 1939 wybuchła wojna, dzieci Marcjanny Fornalskiej znalazły dla siebie miejsce w podziemiu. Zginął z rąk gestapo najstarszy syn, Franciszek, zginęła też pierwsza spadochroniarka polska, wybitna działaczka PPR Małgorzata, o której tak pisał poeta:

*Sładow ciężkich nie wytrą lata,
kwi czerwienią ta rzeźba wzbiera.
Przypomina, jak Małgorzata
potrafita milcząc umiera.*

Tego męstwa, tej żarliwości rewolucyjnej uczyła swoje dzieci matka, która wróciła później do kraju w 1945 r., by w wyzwolonej już ojczyźnie podjąć dzieło życia — przez lata całe pisany „Pamiętnik matki”.

Fornalska dożyła chwili, w której mogła przekonać się, jak bliskie Polsce Ludowej jest nazwisko jej oraz

jej dzieci. Widziała podobiznę swej córki na znaczkach i portretach, uczestniczyła w uroczystościach nazwania jej imieniem szkoły i statku, doczekała się wydania książki, która przyniosła jej ogromny rozgłos, by już niedługo — jak donosi prasa — trafić na ekrany kin. Dzisiaj, już z za grobu dochodzi jeszcze jej głos, przestroga i rada człowieka, który potrafił swoje życie — jak mówi Igor Newerly — „przeżyć jak człowiek”.

„Gdybym była prawdziwym pisarzem, to w tej chwili chciałabym określić jakimś słowem wojnę. Koszmar — to mało, nieszczęście — to mało, tragedia — to mało. Bo kiedy jest wojna, to zaraz gromadzą się wszystkie nieszczęścia: śmierć, sieroctwo, zarazy, choroby różnego rodzaju i pamiętam, że do tego ogromnego zbiorowiska nieszczęść dokłada się jeszcze i przyroda”.

To jest głos towarzyski i matki — Marcjanny Fornalskiej w obronie pokoju i szczęścia ludzi pracy na całym świecie.

Elżbieta Rosiak

(Dokończenie ze str. 8)

prezydent McKinley wydał rozkaz przystąpienia do zbrojnej interwencji.

Wojna przeciw Hiszpanom rozgorzała z miejsca na obu oceanach. Korpus ekspedycyjny wojsk Stanów Zjednoczonych i ochotniczy pułk kawalerii, zwany „Rough Riders”, pod wodzą Teodora Roosevelta zlikwidował w ciągu kilku miesięcy panowanie hiszpańskie na Kubie. Na Pacyfiku eskadra okrętów USA dowodzona przez Georga Deweya zniszczyła całkowicie flotę Hiszpanów broniącą kolonii królewskich na Filipinach.

W wyniku całkowitej klęski Hiszpania podpisała 10 grudnia 1898 r. traktat pokojowy, na mocy którego oddała Kubę pod tymczasową okupację Stanów Zjednoczonych do czasu nadania jej niepodległości, scedowała Ameryce Porto Rico i Guam zamiast odszkodowania wojennego oraz Filipiny za cenę 20 milionów dolarów.

Zwycięstwo nad Hiszpanami przyniosło wzrost roli politycznej i gospodarczej Stanów zapewniło McKinley’owi w r. 1900 ponowny wybór na prezydenta, a bohaterowi wojny, Teodorowi Rooseveltowi, fotel wiceprezydenta. Jednak McKinley niedługo cieszył się zwycięstwem.

6 września 1901 r. prezydent zwiędział wystawę panamerykańską w Buffalo. W trakcie przedstawiania mu personelu wystawowego McKinley zbliżył się do osobnika z zabandażowaną dłonią. Z ukrytego w bandażach pistoletu padły dwa strzały skierowane do prezydenta, z których jeden okazał się śmiertelny. Kula wniknęła w lewe nadbrzusze i utkwiała w głębokich mięśniach grzbietu. W uśpieniu eterowym otworzył jamę brzuszną, i zaopatrzone otwór od kuli w ścianie żołądka. Znalaziono również włot kuli do głębokich mięśni grzbietu, nie ustalono jednak jej siedliska, gdyż ze względu na wstrząs, którego wówczas nie umiano opanować, operację należało jak najszybciej skończyć. Mimo że promienie Roentgena były już znane, nie uważano badania rentgenowskiego za konieczne dla zlokalizowania tkwiącego w tkankach pocisku.

JAK DOKONANO ZAMACHÓW NA POPRZEDNIKÓW KENNEDY’EGO

Dziewiątego dnia po zamachu stan zdrowia prezydenta McKinleya pogorszył się nagle i nastąpiła śmierć.

Na sekcji stwierdzono zgorzel wzdłuż kanału postrzałowego. Jako właściwą przyczynę zgonu uznano martwicę uszkodzonej trzustki, czego w czasie operacji nie zauważono, i rozpad okolicznych tkanek trawiennych spowodowany przeciekającymi do jamy brzusznej sokami trzustkowymi. Wyniki sekcji i tym razem dały powód do głośnej krytyki chirurgicznych metod leczenia prezydenta.

Morderca — anarchista, Leon Czolgosz, emigrant z Wielkopolski, nie usiłując uciekać został zatrzymany na miejscu zbrodni. Sześć tygodni później, na podstawie wyroku Sądu Najwyższego USA zginął na krześle elektrycznym.

W myśl zasad konstytucji USA, śmierć McKinleya wyniosła automatycznie jego zastępcę Teodora Roosevelta na stanowisko prezydenta, które piastował przez dwie kadencje.

Rządy jego przypadły na okres żywiołowego wzrostu i światowej ekspansji wielokapitalistycznej potęgi gospodarczej USA, lecz również z tym okresem należy łączyć zwiększenie nadzoru państwa nad wszechwładnymi trustami.

Gdy zbliżała się kampania wyborcza 1908 r., Roosevelt był u szczytu popularności i miał zapewnione ponowne zwycięstwo. Żywiąc jednak wątpliwości, czy słuszne byłoby złamanie tradycji, w myśl której żaden prezydent nie pełnił urzędu dłużej niż przez dwie kolejne kadencje, wycofał swoją kandydaturę. (Od zasady tej odstąpił dopiero w okresie II wojny światowej Franklin D. Roosevelt, wybrany prezydentem w roku 1940 po raz trzeci i w 1944 po raz czwarty). Jednak w 1912 roku Teodor Roosevelt zdecydował ponownie ubiegać się o urząd pre-

zydenta. Ponieważ republikanie odmówili tym razem wyznaczenia go swym kandydatem, założył obok „demokratów” i „republikanów” własną partię „postępową” i z jej ramienia ubiegał się o wybór. W związku z kampanią wyborczą przybył 14 października 1912 roku do Milwaukee, gdzie niejaki John Schrank, właściciel miejscowego szynku, dokonał zamachu na życie byłego prezydenta, strzelając doń z kolta z odległości około 2 metrów. Kula, po przebiegu znajdującej się w kieszeni surduta metalowej pochewki na okulary i rękopisu przemówienia, utkwiała dość powierzchownie w klatce piersiowej łamiąc czwarte żebro po stronie prawej, lecz nie uszkodziła jamy opłucnowej. Roosevelt zasłonił usta ręką i zakasłał, a nie widząc krwi na dłoni nabrał przekonania, że nie zostały zranione płuca, przeto zażądał, aby zamiast do szpitala zawieziono go na zebranie wyborcze, gdzie miał wygłosić przemówienie. Tu nastąpił dramatyczny moment, wymagający od bohatera tej scenarii niemałego samozaparcia. Gdy rozpiął marynarkę, by wyjąć rękopis, zebrana w audytorium publiczność ujrzła jego zakrwawioną koszulę.

Dopiero po wygłoszeniu 50-minutowego przemówienia Roosevelt poddał się opiece lekarzy. Radiologicznie stwierdzono, iż kula tkwi powierzchownie i nie wymaga operacyjnego usunięcia. Rana zagoiła się szybko bez powikłań, a otorbiony pocisk nosił Roosevelt w swym ciele do końca życia.

Ambicjom Roosevelta nie stało się jednak zadość, gdyż przegrał kampanie wyborczą. Jej zwycięzcy, prezydentowi Woodrow Wilsonowi, przypadło przez dwie kadencje ponosić trudy kierowania nawa państwową w okresie I wojny światowej.

Stanisław Białkowski

Z PLASTYKĄ NA WIEŚ

Włączając się w akcję ZG ZMW i „Zarzewia” redakcja „Kameny” zwróciła się do przedstawicieli lubelskiego środowiska plastycznego oraz przedstawicieli instytucji związanych z upowszechnianiem kultury plastycznej zapytaniem:

- 1) Jak wygląda sprawa upowszechniania kultury plastycznej w miastach i wsiach województwa lubelskiego?
- 2) Na co powinno się położyć główny nacisk w realizowaniu akcji ZG ZMW i „Zarzewia”?
- 3) W jaki sposób lubelskie środowisko plastyczne mogłoby brać udział w akcji upowszechniania plastyki na wsi?

ART. PLAST. EDWARD NADULSKI,
KIEROWNIK WYDZIAŁU KULTURY
PWRN W LUBLINIE

Zapotrzebowanie na plastykę, jest we współczesnym społeczeństwie ogromne. Niemal nieświadomie dla

przeciętnego odbiorcy wkracza ona do wielu dziedzin jego życia, poprzez architekturę, film, plakat itd. I w tym aspekcie, nawet fakt popularności masek czy obrazków „z jeleniami” jest bardzo znamienny. Świadczy o dużym popycie, chęci posiadania przedmiotu „artystycznego”. Nie wnikam w kwestie dobrego czy złego gustu w tej dziedzinie.

Jednocześnie na naszym rynku lokalnym odczuwa się duże zapotrzebowanie na rzeczy typu pamiątkarskiego. Lubelszczyzna nie posiada odpowiedniej ilości pocztówek o właściwej jakości, popularnych a dobrych reprodukcji. A przecież to jest jedna z najprostszych dróg do szerokiego odbiorcy. Właśnie plastyka użytkowa jest jednym z najważniejszych elementów estetycznego wychowania współczesnego człowieka.

Lubelskie środowisko plastyczne jest bardzo bogate. Skupia przeszło 70

plastyków. Są wśród nich sztalugowcy, graficy, metaloplastycy, rzeźbiarze, projektanci wewnątrz — nie możemy więc narzekać na brak swego rodzaju „zaplecza”. Angażowanie ich na stałe przez zakłady pracy i instytucje (są na te cele odpowiednie fundusze) w większej mierze niż dotychczas, przyniosłoby obopólne korzyści. Zostało już dawno dowiedzione, że np. estetycznie urządzone otoczenie nie tylko kształtuje właściwy smak i gust pracownika, ale i wpływa w dużym stopniu na wydajność pracy. Idąc dalej: należałoby sugerować istnienie stanowiska plastyka-konsultanta przy wydziałach architektury miejskich i powiatowych rad narodowych. Taki plastyk-konsultant miałby równocześnie wgląd w sprawy upowszechnienia plastyki na wsi.

Uważam, że szczególną uwagę należy zwrócić na urządzenie wystaw w szkołach. Już dzisiaj wyposażamy szkoły Tysiąclecia w wartościowe dzieła współczesnych plastyków. Akcją tę należałoby rozszerzyć na wszystkie szkoły i połączyć z odpowiednimi prelekcjami, spotkaniami z twórcami itp.

ART. PLAST. JÓZEF ABRAMOWICZ,
DYREKTOR BWA W LUBLINIE

Lubelski Oddział BWA dysponuje sporą ilością zestawów obrazów, które mogłyby być eksponowane w wielu miejscowościach naszego województwa. Mamy nawiązane stałe kontakty z kilkoma domami kultury i świetlicami w miastach powiatowych. Jak dotąd jednak poniżej powiatu nie schodziliśmy. Pierwszą i najważniejszą przyczyną jest tutaj po prostu brak własnego środka lokocji — samochodu półciężarowego, który pozwoliłby dotrzeć prelegentowi no i samym obrazom do miejscowości odległych od Lublina i stałych szlaków komunikacyjnych. Złożyliśmy już zresztą pismo do Wydziału Kultury PWRN w sprawie przyznania nam w 1964 r. funduszy na zakup samochodu. Szeroko zakrojona akcja wystawowa, powinna się łączyć z prelekcjami, czy raczej popularnymi pogadankami — na temat: co to jest malarstwo, jak patrzeć na dzieło sztuki, prelekcjami na temat historii sztuki itp. Na to pierwsze spotkanie z plastyką dawalibyśmy tylko dzieła komunikatywne — z zakresu malarstwa, nie dalek niż do impresjonizmu, oczywiście także inne techniki: rysunek, czytelna grafika. Zupełnie zrozumiałe, że przy szeroko zakrojonej akcji jest rzeczą niemożliwą pokazywanie tylko oryginałów. Główny nacisk należałoby położyć na dobre reprodukcje (z którymi u nas jest nie najlepiej). Organizatorzy akcji powinni zwrócić uwagę na masowe przygotowanie tanich reprodukcji. Brak odpowiedniej ilości prelegentów można by w pewnej mierze zastąpić członkami ZMW. W każdym kole ZMW powinien znaleźć się przynajmniej jeden „propagator” sztuki przygotowany do swojej działalności na odpowiednich kursach. Właśnie taka wewnętrzna inicjatywa, płynąca z „własnej” wsi może przynieść najlepsze rezultaty. A czy miejscowe kole ZMW nie mogłyby wtedy organizować np. wystaw szmiry plastycznej, panoszącej się niemal w każdym wiejskim domu, i jednocześnie dla porównania — wystaw reprodukcji dobrego malarstwa? Środki proste, nieskomplikowane, a w danym wypadku wywierające na przeciętnego mieszkańca wsi większy wpływ niż przyjazd czterech prelegentów z miasta wojewódzkiego z odczytami na temat walki ze szmirą.

MGR IRENA ISKRZYCKA,
DYREKTOR PAŃSTWOWEGO
MUZEUM W LUBLINIE

Musi to być przede wszystkim działalność dobrze zorganizowana, gruntownie przemyślana, żeby nie było „partyzantki”. Np. w naszym województwie, na jakiejś wspólnej naradzie Związek Plastyków, Stowarzyszenie Historyków Sztuki i Muzeum powinny podzielić się pracą i podczas realizowania zamierzonego „planu” stać ze sobą w kontakcie. W uplastycznieniu wsi bardzo wielką wagę przywiązując do sprawy uplastycznienia szkół. Szkoły mające obecnie najlepsze ku temu warunki, powinny być „ogniskami zapalnymi”, w nich właśnie powinny się mieścić stałe galerie sztuki, zestawy obrazów zmieniane co pewien czas, wędrujące od szkoły do szkoły. No i podczas otwarcia takich wystaw konieczne prelekcje objaśniające.

Muzeum Lubelskie stale współpracuje w zakresie organizacji wystaw, z Puławami, Kazimierzem, Nałęczowem, Poniawą. Ostatnio poszliśmy dalej. Wspólnie z Wydziałem Kultury PWRN przygotowujemy otwarcie galerii współczesnego malarstwa lubelskiego w szkole we wsi Modliborzyce. Zestaw obejmuje 15 obrazów: Marii Urban, Władysława Filipiaka i innych

lubelskich malarzy. Obrazy nie stanowią darowizny, zostają oddane jako depozyt. Otwarcie galerii zostanie połączone z prelekcją „Jak patrzeć na dzieło sztuki”. Mamy już na uwadze kilka innych szkół. A wracając już na teren samego Lublina — dlaczego zaniechano organizowanych przed kilku laty i cieszących się taką popularnością aukcji prac lubelskich plastyków, czy nie warto odnowić tego zwyczaju w dniach Oświaty, Książki i Prasy, a równocześnie „w terenie” zorganizować w tym czasie taniej sprzedaży lubelskiej grafiki, akwareli, czy nawet reprodukcji tych dzieł?

MGR HALINA KSIĘSKA,
KIEROWNIK DZIAŁU
OŚWIATOWEGO WDK W LUBLINIE

Może zacznę od „szczebla powiatowego”... Tutaj mamy pewne osiągnięcia. Doprowadziliśmy do tego, że niektóre podległe nam powiatowe domy kultury zaczynają już prowadzić stałą akcję wystawniczą. Na przykład Radzyń i Bychawa. Nawiązali stały kontakt z BWA w Lublinie, biorąc od nich wystawy, starają się zainteresować nimi miejscową ludność. Jeżeli chodzi natomiast o wieś, sądzę że jej mieszkańcy na razie bardziej interesuje sztuka użytkowa i w akcji popularyzacji plastyki położylibyśmy tu nacisk — przynajmniej w pierwszej fazie — na pogadanki i wystawki z zakresu wnętrzarstwa (oczywiście dostosowanego do warunków i potrzeb wiejskich) i umiejętności dobrego ubierania się, kompletowania garderoby. Mówię to na podstawie doświadczeń — urządziliśmy takie imprezy we wsiach powiatów: lukowskiego, chełmskiego i lubartowskiego. Cierpiemy na brak prelegentów. Podobna sytuacja powstanie prawdopodobnie podczas realizowania akcji Związku Młodzieży Wiejskiej. My rozwiązujemy problem w ten sposób, że do wysyłanej na wieś wystawy opracowujemy i dołączamy bardzo szczegółowy scenariusz, dzięki któremu nawet niefachowiec opiekujący się wystawą może zaznajomić zwiedzających z jej treścią i założeniami. A więc druga nasza rada, to dostarczenie jak największej ilości materiałów. Warto by także wejść w kontakt z RUCH-em, który ostatnio rozwija w wielu wsiach sieć swoich placówek — wiejskich domów książki i prasy. Prelekcje o sztuce połączone z kiermaszami reprodukcji w tych domach mogą dać interesujące rezultaty.

STANISŁAW NIEDŹWIEDŹ,
PRZEWODNICZĄCY ZARZĄDU
WOJEWÓDZKIEGO ZMW
W LUBLINIE

W dziedzinie upowszechnienia plastyki na wsi nie mamy jeszcze zbyt wielkich doświadczeń. Dlatego nasz Zarząd Główny stara się nawiązać kontakt i korzystać z doświadczenia instytucji i organizacji związanych zawodowo z zagadnieniem. Cała akcja, jak wiadomo, znajduje się dopiero w stadium organizacji. Pomimo to Zarząd Wojewódzki już działa, na razie w ramach swoich skromnych możliwości. Podczas odbywającego się w styczniu zimowiska dla aktywu ZMW, w którym będą uczestniczyli nasi członkowie ze szkół przysposobienia rolniczego (z województwa lubelskiego), przewidujemy także pewną ilość wykładów na temat malarstwa i plastyki użytkowej. Tutaj musimy dodać, że organizowane przez nas wspólnie z TWP pogadanki na temat urzędowania wewnątrz mieszkalnych cieszyły się na wsi wielkim powodzeniem. W najbliższym czasie rozpocznie działalność w okolicznych wsiach koło ZMW istniejące przy Technikum Plastycznym w Nałęczowie.

MGR JAN DRAŻEK, SEKRETARZ
ZARZĄDU WOJEWÓDZKIEGO TWP

Plastyka na wsi? Głównie poprzez uniwersytety powszechne. Prowadzimy je (wiejskie i robotnicze) w ok. 300 miejscowościach województwa lubelskiego. Każdy zreszta co najmniej 40 słuchaczy. Trzysta razy czterdzieści daje dwanaście tysięcy. Dalsze atuty: stałe, przygotowane do wykładów lokale, etatowy kierownik, słuchacze o pewnym przygotowaniu — większość z nich ma już poza sobą przynajmniej dwuletni staż. Radziłbym zacząć od spraw plastyki użytkowej. Od spraw praktycznych. Tylko to może — przynajmniej początkowo — wzbudzić zainteresowanie. Jeżeli chodzi o włączenie się do akcji — jesteśmy gotowi zorganizować każdą ilość spotkań z mieszkańcami wsi i miasteczek. W ramach możliwości służymy także środkami lokocji.

ART. PLAST. EUGENIUSZ POL,
PREZES LUBELSKIEGO ODDZIAŁU
ZPAP

Niestety, zaraz na początku muszę wygłosić kilka gorzkich uwag pod

ZAGŁOBA MIAŁ RACJĘ

ZYGMUNT MIKULSKI

WIADOMA jest „geografia” młodego ruchu literackiego w kraju. „Stary” Kraków wciąż zajmuje czołową pozycję, Zielona Góra startuje z dużymi szansami powodzenia, Kielce dzięki wsparciu o „instytucjonalny” czynnik różniczek placówki wykazują godną uznania systematyczność. Lublin? Możliwe, że na jego dobro wpisane należy całą dyskusyjną możliwość problemu w miejsce aprobaty dla „łatwych” propozycji i rozwiązań, niemniej trudno to mówić o zespołowym działaniu. Jeden „Prom” jeżdżący nawet po lodzie „organizacyjnego indyferentyzmu” młodych komunikacji nie zapewni, a zresztą jest to środek lokocji dość nieladowny. Tak więc, kiedy mowa o formach jednolitego działania w środowiskach młodego pisarstwa, gdzie indziej pojawia się problem „jak”, w Lublinie natomiast wciąż jeszcze trwa — z lekka tylko potrącony — problem „czy”.

Stwierdzenie to wbrew pozorom nie posiada strony ironicznej. Ilustruje tylko stronę bierną w stanowisku lubelskiej młodzieży piszącej wobec inicjatyw i poczynań podejmowanych z myślą o takiej młodzieży w całym kraju. Rezerwa ta — owszem — nie pozostaje bez pewnych uzasadnień. Jakich?

Pierwsze. Wątpliwa jest sama zasada apriorycznej troski o nas, szczególnie kiedy nie jest poprzedzona rozeznaniem naszych potrzeb i upodobań. Ostatecznie i dzieciom wypuszczonym na podwórko nie mówi się: „A nie zapomnijcie zabawić się w wojsko, to bardzo miła zabawa”. Nie mówi się, ponieważ zabawa jest czymś tak spontanicznym, że nawet przy zapewnieniu wszystkich jej akcesoriów nie można „wyorganizować” w niej rzeczy najważniejszych: weselości.

Drugie. Odwrotna, prosimy państwa, kolejność. O ile wiemy (właściwie: czytaliśmy), wszelkie grupy literackie powstają (właściwie: powstawały) na tej zasadzie, że pewną ilość osób łączy wspólnota wyznawanych przekonań artystycznych, czy tylko dokładniej sprecyzowanych zainteresowań i dopiero na tej bazie wytworza się więź organizacyjna uwewnętrzniona tak lub inaczej w zbiorowym działaniu. Teraz się praktykuje jakieś podejście mechaniczne: ja piszę, ty piszesz, wniosek — my piszemy. Czyli — razem młodzi przyjaciele. Trochę nie tak. Aczkolwiek wszystkich nas „dotyczy” zainteresowanie sprawami pisarstwa, nie możemy gwarantować, że w ten sposób przy sprawności zaproponowanego nam i przyjętego organizacyjnego mechanizmu rzecz sama odniesie pożytek. Nie wystarczy rozdać karty. Trzeba wiedzieć w co się gra.

I oto mamy „dyskusyjny aspekt problemu” wymieniony na wstępie. Jeden tylko dodatek. Ten mianowicie, że — zbiorowy — autor przedstawionej przykładowo wypowiedzi jest równocześnie jej adresatem. Autor teoretycznych racji — adresatem praktycznych wniosków. Wnioski te niech by były na „tak”, lub „nie”, ale wyprowadzone z merytorycznych przesłanek i jednolicie określone. Bo w rzeczywistości bywa tak, że kiedy się mówi o zaniechaniu całej sprawy, usłyszeć można: „Przecież nie negujemy potrzeby jakichś form organizacyjnych”, kiedy zaś się oczekuje ich realizacji, pojawiają się uwagi, zastrzeżenia i wątpliwości odsuwające przedmiot do następnej pięciolatki, jeśli nie ad Calendas graecas. W konsekwencji trwa stan permanentnego „ale”, wskazujący chyba na to, że lubelska młodzież pisząca zajmuje stanowisko neutralne... w swoich własnych sprawach.

Jeśli — przeważnie z Zarządu Głównego ZLP, przy którym powstała Komisja Młodzieżowa — pojawiają się jakieś propozycje zmierzające do wprowadzenia pewnych organizacyjnych prawidłowości na terenie niepozostającym przecież białą plamą, nie jest to próba wyręczenia młodych, ale zwykłe umożliwienie bliskosiedzielskich kontaktów, jako że większość młodych do Związku jeszcze nie należy. A środowisko lubelskie w ogóle jest zainteresowane w tym, by to „jeszcze” trwało jak najkrócej. Znana jest wysoka przeciętna wieku w naszym oddziale, znane wypadki „wybycia” do ośrodków prężniejszych fortunnymi debiutantów, pozabawiające nas niemal doszczętnie pokolenia średniego i młodego. Zaznacza się to niniejszym nie dla podbicia ceny tego towaru, jakim jest pisząca młodzież w naszym środowisku, ale dla przytomienia prawdy o naturalnej rotacji pokoleń. Co przygotowujecie sobie w gospodarstwie, jako przyszli gospodarze terenu? Oczywiście, tymi potencjalnymi gospodarzami możecie się nie czuć, czego wcale konstytucja, ani kodeks karny nie zabraniają.

Z tym tylko, że — jak zawsze — nieobecni nie mają racji. Trzeba swoją obecność pokazać. Na ostatnim posiedzeniu wymienionej komisji mówiono o tej potrzebie manifestacji. Żądano żądań. Między ZLP a organizacjami młodzieżowymi — ZMW, ZMS, ZSP — istnieje porozumienie, mocą którego wszelkim młodzieżowym inicjatywom literackim udzielać się ma całej organizacyjnej pomocy. Zresztą... pomocy. Słowo najmniej odpowiednie, bo zasadniczym i w centrum zagadnienia stojącym dysponentem jest tu młodzież sama. I wyniki jej działalności zależą od tego, co sama potrafi wygospodarować. Wylądowanie „konsumpcyjny” stosunek do zadania mającego być spełnionym gdzie indziej nie przyniesie rezultatów. Wyczekiwanie na obietnicę kolumn, biu-

(Dokończenie na str. 12)

(Dokończenie na str. 12)

Strzyżów — miasteczko nad Wisłokiem

JERZY POPOW

KIEDY delegacja Miejskiej Rady Narodowej w Strzyżowie udała się do Warszawy, aby starać się o komunikację autobusową, minister zapytał:

— A ilu mieszkańców liczy wasze miasto?

Delegaci wymienili porozumiewawcze spojrzenia, które sygnalizowały: „podwoić liczbę” — i odpowiedzieli:

— Osiem tysięcy mieszkańców. Okazało się jednak, że nawet ta liczba nie zrobiła na ministrze wrażenia. Poinformował delegację, że o komunikację miejską starają się miasta mające... siedemdziesiąt tysięcy mieszkańców.

POWIATOWY AWANS

Skończyłoby się zapewne na tym, gdyby nie ta okoliczność, że strzyżowianie są niecierpliwi i nie chcą czekać. Kiedy bowiem w bieżącym roku obchodzić się będzie dwudziestolecie władzy ludowej, oni święcić będą dziesięciolecie utworzenia powiatu strzyżowskiego.

Awans dla miasteczka nadszedł dość nieoczekiwanie. Zdecydowało o tym położenie Strzyżowa leżącego na linii kolejowej Rzeszów — Jasło i przy szosie Rzeszów — Krosno. Strzyżów stał się najmłodszym powiatowym miastem w województwie.

Strzyżowian opanowała radość. Później jednak przyszedł niepokój. Czy ich powiat ma rację bytu? W województwie mogą przecież spytać kiedyś: „Ta brudna miścina, w której kury i kaczki chodzą po rynku, ma być miastem powiatowym?” Wniosek był jednomyślny: trzeba zmienić wygląd miasta i starać się o jego rozbudowę. Gdy zlokalizują tu fabrykę, a my wybudujemy bloki mieszkalne, szkoły, szpital powiatowy, to Strzyżów stanie się społecznie i administracyjnie potrzebny.

KOSMETYKA MIASTA

Zaczęto od porządkowania miasteczka. A ponieważ najbardziej represen-

tacyjny jest rynek, wzięto się do niego. Zlikwidowano miejsce postoju furmanek i założono zieleńce. Z ukwieconego rynku znikły bezpowrotnie kury i kaczki. Ulice zyskały asfaltowe nawierzchnie. W tym roku asfalt pokryje ostatnie metry dawnych kocich łbów.

Z kolei przyszedł czas na estetykę sklepów. Przebudowano wystawy placówek handlowych. Wybudowano i uruchomiono nowoczesną turystyczną kawiarenkę. Wydano zezwolenia na do budowę pięter w parterowych domkach otaczających rynek. Ponieważ powiatowe instytucje musiały zatrudnić specjalistów z innych miast, wzniesiono dla nich pięć bloków mieszkalnych. Dwa kolejne mają już fundamenty, a od przyszłego roku rusza budowa pierwszych w Strzyżowie bloków nowo zorganizowanej spółdzielni mieszkaniowej. Miasto wyznaczyło również tereny pod budownictwo indywidualne. W nowej dzielnicy stoi już czternaście domków jednorodzinnych.

SPRAWY OŚWIATY

Przed wojną była tu jedna szkoła podstawowa i jedno gimnazjum. Kiedy Strzyżów stał się siedzibą powiatu, przypadł mu obowiązek wykształcenia dorastającej młodzieży z okolicznych wsi. I w tej dziedzinie okazało się, że nawet duża pomoc ze strony państwa w budownictwie szkolnym (szkoła Tyśiąclecia, nowa zasadnicza szkoła handlowa i technikum ekonomiczne) nie zapewni nauki całej młodzieży strzyżowskiej. Tym bardziej pracującej, która nie może odbywać codziennych trzydziestokilometrowych podróży do Rzeszowa, Jasła i Krosna.

W takiej sytuacji, niezależnie od budowy nowej szkoły zawodowej z funduszy państwowych Miejski Komitet Frontu Jedności Narodu powołał Komitet Budowy Technikum Ekonomicznego dla pracujących.

W toku realizacji zamierzenia wyjaśniło się, że technikum ekonomiczne dla pracujących w Strzyżowie wybuduje państwo własnymi środkami. W zmiennej sytuacji komitet przystąpił do budowy internatu dla młodzieży dojeżdżającej z pobliskich wsi.

Sprawa technikum w Strzyżowie jest dość istotna, ponieważ wielu tamtejszych młodych stoi przed koniecznością uzyskania wykształcenia średniego.

Jest jednak i grupa niecierpliwych, którzy średnie wykształcenie uzupełniają w szkołach poza Strzyżowem, lub po zdobyciu średniego wykształ-

cenia studiują zaocznie. Dla nich nie zastąpioną pomocą okazała się Powiatowa Biblioteka Publiczna. Przyjmuje ona na siebie funkcje jakby wyższej uczelni, kiedy wypożycza w swej czytelni książki sprowadzone z Biblioteki Jagiellońskiej, wrocławskiego Ossolineum i lubelskiej biblioteki uniwersyteckiej.

O bibliotece dodać należy, że posiada m. in. rzecz rzadko w tego rodzaju placówkach spotykaną. Mianowicie pokój gier przeznaczony dla tej młodzieży, którą bardziej pociąga czynna rozrywka, aniżeli gazeta i książka.

Biblioteka urzęda również seanse telewizyjne. Dzięki tej różnorodności form pracy potrafiła stać się placówką atrakcyjną: co trzeci mieszkaniec miasta jest jej czytelnikiem.

Sześć faktów i jeden wniosek

(Dokończenie ze str. 5)

tem otrzymał wyrok skazujący za łapówkę i pod odbyciu tego wyroku, a także skreśleniu z listy członków partii, zarabia niemal dwa razy więcej.

No ale jak jest wykonana dokumentacja? Ot — prosta robota na polowanie instalacji kanalizacyjnej za 220 tys. zł — trzeba było wykonać aż 22 poprawki. Na budowie PDT w Lublinie musiano zwołać aż 40 narad koleżeńskich, aby rozwiązać problemy, które powinna była rozwiązać dokumentacja....

Mamy w Polsce ponad 300 dokumentacji typowych. Ale jak się okazało na naradzie budowlanej zorganizowanej po XIV Plenum, według jednej typowej dokumentacji zrealizowano w całym kraju zaledwie 3,7% budynków. Olbrzymia większość tej dokumentacji przewidyuje budownictwo bardzo drogie — do 2.700 zł za jeden metr kwadratowy, podczas, gdy górną granicą budownictwa oszczędnego jest 1.900 zł. Nic dziwnego, że część projektantów zajęta jest głównie dokumentacją indywidualną i to drogą, bo ich wynagrodzenie jest funkcją wartości domu, który ma być zbudowany. Im będzie droższy, tym więcej zarobi projektant.

Ale nie tylko on — budowlany także. U niego po staremu liczy się przerób — im więcej włoży w ziemię i w mury, tym lepiej ma wykonany plan, tym więcej zarobi i przedsiębiorstwo, i on sam. Niedawno Wojewódzki Zarząd DBOR dzięki współpracy z Politechniką Warszawską otrzymał dokumentację na bardzo tanie domki — 1.500 zł za metr kwadratowy. Miano takie domki stawiać dla załogi wielkiej, budującej się jeszcze fabryki chemicznej. Ale dyrektor przedsiębiorstwa budowlanego odpowiedział krótko: odsyłam dokumentację, bo mi się nie opłaci. Za tanio.

Oto jeden z dość jeszcze rozpowszechnionych sposobów rozumowania: mnie się to nie opłaci, moje(?) przedsiębiorstwo na tym zbyt mało zarobi, nasza gmina (nasz powiat) musi mieć szpital (inny obiekt) itd. Subiektywnie jest w tym wszystkim pewnie dużo racji. Chodzi jednak o rację

(Dokończenie ze str. 11)

adresem Związków Zawodowych. Istnieje porozumienie pomiędzy Związkiem Polskich Artystów Plastyków a CRZZ dotyczące krzewienia kultury plastycznej w środowiskach robotniczych, w tym także wśród robotników załogi do finansowania całej imprezy i trzeba przyznać, że sprawę pieniędzy wywiązują się jak dotąd bez zarzutu... placą za prelekcje, które się nie odbyły — z winy złej organizacji, za wynajem sal, w których nie zawieszono przygotowanych przez ZPAP wystaw, placą, ponieważ mają także odgórne zarządzenie, a poza tym chcą mieć święty spokój. W jednym z województw zdarzyła się nawet taka sytuacja, że przedstawiciel Związku Zawodowego wpłacił na konto ZPAP 5.000 zł, po kilku tygodniach dalsze 5.000 — za cały rok z góry, w czym przez dłuższy czas szczęśliwie ukrywał się przed poszukującymi go plastykami, którzy chcieli „odpracować”

PRZYSZŁOŚĆ

Strzyżów jest małym miasteczkiem. Nie wymieniliśmy jednak nawet połowy spraw, jakimi zajmują się tu ojcowie miasta i powiatu. Strzyżów niedalekiej przyszłości zostawi w tyle obraz dzisiejszy. Oto tejsze przyszłości niektóre składniki: wznosi się fabrykę mebli, która zatrudni 700 osób. Czynem społecznym pod patronatem Frontu Jedności Narodu buduje się przedszkole. Ze środków społecznych stawia się również stację pogotowia ratunkowego. Wkrótce stanie wielka szkoła zawodowa z warsztatami za 19 milionów złotych. Plany budowy obejmują nawet ośrodek wypoczynku świątecznego dla strzyżowian i turystów z zewnątrz. Dodajmy, że to wszystko dzieje się w miasteczku, które liczy zaledwie 3.760 mieszkańców.

objektywną. To prawda, że suma potrzeb wsi, powiatów czy rejonów składa się na potrzeby całego państwa. Ale nawet w bajce o Ali Babie worki z diamentami miały dno. Skarb państwa też ma dno. Zresztą nie tyle chodzi o pieniądze, ile o to, co musi iść za nimi: materiały budowlane, sprzęt mechaniczny, samochody ciężarowe, ilość wykwalifikowanych ludzi. Potrzeby mogą być nieograniczone — możliwości muszą być ściśle określone.

Jeden, drugi, trzeci wstrząs można znieść, dziurę można załatać. Ale — jak wykazało Plenum, a potwierdziły to także przykłady z lubelskiego terenu — tych wstrząsów było zbyt dużo. Stąd właśnie narodziła się niewątpliwie przykra, ale konieczna decyzja ograniczenia niektórych inwestycji, zakaz — bez specjalnego zezwolenia — podejmowania nowych, bez ukończenia poprzednich, wzmocnienie dyscypliny finansowej, zastrzeżenie nadzoru. Ciężko było członkom Plenum podejmować i ogłaszać takie decyzje, przykro było nam je czytać. Ale gdy zdobędziemy się na chociaż trochę obiektywizmu, gdy pozbędziemy się zaściankowego hurraoptymizmu, a spojrzymy na całość gospodarki, na perspektywę całego kraju — takie decyzje okażą się jedynie słuszne.

W aktualnej sytuacji naczelnym zagadnieniem staje się potaniecie naszego budownictwa. Trzeba powiedzieć, że obok wielu braków, o czym było wyżej, mamy i poważne osiągnięcia. W ciągu ostatnich trzech lat w województwie lubelskim koszt metra kwadratowego domów mieszkalnych obniżono przeciętnie o 420 zł. Dopracowaliśmy się już kilku własnych tanich projektów. Pół roku krócej, niż to przewidują normy techniczne, budowaliśmy wielką, za pół miliarda zł cukrownię w Werbkowicach. Zespół klinik teoretycznych lubelskiej Akademii Medycznej zbudowaliśmy ściśle według pierwotnie ustalonych kosztów i bez zmian dokumentacji, z budowy wielkiego szpitala w Lublinie zwróciliśmy do kasy państwa już 5 mln zł.

Tych dodatnich przykładów jest również znacznie więcej. Świadczą one o tym, że potrafimy dobrze pracować. Chodzi o to, aby taki system pracy stał się powszechny, aby przez szpary przepisów czy gospodarskiej dbałości nie przeciskały się nieprawidłowości niszczące część naszego dorobku, hamujące dalszy, kompleksowo rozwiązywany rozwój. Taki jest jeden, zasadniczy wniosek z uchwały XIV Plenum.

Jerzy Dostatni

ZAGŁOBA MIAŁ RACJĘ

(Dokończenie na str. 11)

letynów, almanachów — aczkolwiek nie są to możliwości przeciw wykluczone* — pozostawi sprawę na dotychczasowym martwym punkcie. Nie sądzimy, że już na pierwsze inauguracyjne zebranie grupy, kół, sekcji przyjdzie delegat redakcji z otwartą teką i asygnatami do kasy. I że jeśli czegoś takiego nie ma, to gra nie warta świeczki, bo oto co deklarują, a co jest w rzeczywistości. W rzeczywistości będzie tylko to, co przez samych zainteresowanych zostanie osiągnięte. Neminem captivabimur... do pióra.

A właściwie — młodzi. Przymiotnik może niepotrzebnie tyle tu wymieniany. Nie ze względu na obszytą już doucipami względność terminu, ale z uwagi na możliwe fałszywe wyobrażenie o jakimś antagonizmie pokoleń. O jakiejś nieokreślonej wprawdzie organizacyjnie, ale jednolito frontowej grupie, jeśli chodzi o akcentowanie weta w stosunku do pewnych posunięć i propozycji. Rzecz jasna, że w tym znaczeniu „młodych” nie ma. Są adepci „pięknej sztuki pisania”, którzy stanowią naturalny załączek przyszłego pisarskiego środowiska, ale jeszcze nie osiągnęli należytego stażu i nie weszli w stan dojrzałości twórczej, a już zwracają uwagę na swe zapowiedzi. I to w jakiej liczbie! Gdyby ilość miała samoistne zdolności organizowania, już placiliby składki. Więc o propos tej ilości. Bojowe skutki przyznawały rację taktycznym koncepcjom Zagłoby, który zwywał „Kupa, mości panowie”. To może i lepiej, niż w pojedynkę, z drzeniem ręki, gdy księżyc zajdzie, a psy się uspią, powierzać czuły odruch serca słowami: „Szanowny Panie Redaktorze... ośmielam się... ten utwór...”

P. S. Wygląda na to, że rozmowa o możliwości utworzenia przy oddziale ZLP w Lublinie grupy młodzieżowej weszła w stadium „targów”. Piszący te słowa podstępnie wyłudził od prezesa Bielskiego wyznaczenie, że z pomyślnego sfinalizowania tej sprawy nie osiągnie żadnych zysków osobistych, natomiast jest serdecznie zainteresowany w takim jej epilogu z pobudek profesjonalnych. Podobne nastawienie ujawniają pozostali członkowie oddziału. Z drugiej strony — nie należy chyba postrzekać bezpośrednio zainteresowanych o chęć zmarznięcia, byle tylko mamie stało się na złość. Tak więc jako kompetentny miernik dyplomat niech wróci zdrowy rozsądek, uznanie społecznej potrzeby, a i rachunek własnych korzyści. Chyba będzie bardziej na miejscu, aniżeli szlachetna donkiszoteria gryzącej się w ogon, permanentnej „dyskusji”.

Zygmunt Mikulski

* UWAGA REDAKCJI. W „Kamieniu” zresztą są to możliwości realizowane — nie tylko znajduje tu miejsce wiele debiutów, ale istnieje specjalny dział kontaktów z młodzieżą i jej organizacjami. Nadto redakcja skupia wokół siebie młodych współpracowników, którzy zdobywają doświadczenie publicystyczne. Również „Kurier Lubelski” i „Sztandar Ludu” drukują często utwory piszącej młodzieży, a Wydawnictwo Lubelskie daje jej szansę opublikowania książki. Nasuwa się refleksja, czy to właśnie szerokie w Lublinie możliwości nie są jedną z przyczyn obojętności u nas stosunku młodych adeptów literatury do propozycji organizacyjnych ZLP. Potwierdzałoby to, niestety, słuszność uwagi autora o wyłącznie konsumpcyjnym stosunku do zadania.

Z plastyką na wieś

w/w kwotę. A nam przecież nie tylko o pieniądze chodzi.

Więś. Faktem jest, że jedyna naprawdę udana impreza z CRZZ — to była właśnie wystawa w PGR Machnów, w powiecie hrubieszowskim. Ci robotnicy rolni po pierwsze: sami wystąpili z próbą o zorganizowanie u nich wystawy malarstwa, po drugie — naprawdę przychodzili ją oglądać i... dyskutowali. Wystawę zwiedziły okoliczne szkoły, poczyniono zakupy, kilka okolicznych PGR-ów prosiło o zorganizowanie na ich terenie podobnych wystaw. Wystawę w Machnowie zwiedziło kilkaset osób. Kto wie, czy akcja upowszechnienia plastyki na wsi nie ma naprawdę dużych szans?

Notował
Mirosław Derecki

Przewodnik »fantastyczny«

FRANCISZEK KOTULA

OSTATNIO coraz częściej dyskutujemy na temat turystyki. Powstały liczne instytucje, biura, towarzystwa mające za cel by jak największą ilość ludzi wyprowadzić na turystyczne szlaki, swoje i obce, dalekie i bliskie, łatwe i ciężkie... Trzeba przyznać, że akcja turystyczna oparta jest jak najtrafniej na ludzkiej psychice, na ludzkich instynktach czy wrodzonych skłonnościach. Charakterystyczną jest rzeczą, że w turystyce człowiek szuka przede wszystkim przygody. Ale nie każdy jednakowej. Ludzie poszukują różnego rodzaju przygód, a jakoś poszukiwanej przygody zależna jest również od wieku.

Najchętniej — zwłaszcza obecnie — szuka się wrażeń, które nazwałbym „fizycznymi”. W tym wypadku chodzi o wyzwanie się fizyczne: pokonywanie trudności chociażby terenowych, więc gór, rzek, wąwozów, podsztych lasów; budowanie szalasu czy namiotu, noszenie drzewa na opał i wody, spotkanie burzy, zabłądzenie w pustkowi, wygłodzenie się, zdobycie żywności kombinacyjnie itp.

Inni szukają przygód — nazwijmy je umownie — estetycznych. Udają się więc tam, gdzie mogą znaleźć piękne widoki, zabytkowe budowle, dzieła sztuki i kultury itp.

I wreszcie — nie omawiając wszystkich typów turystów zwrócimy uwagę na jeszcze jedną grupę, bardzo specyficzną, do której szeregów garnie się pewna część męskiej młodzieży w określonym wieku. Chłopcy ci i dziewczęta (bo trafiają się również dziewczęta) mimo panującego obecnie realizmu, są „romantycy” — jak ich nie bez sarkazmu określają koleży — posiadają bardzo żywotną wyobraźnię, szukają czegoś fantastycznego, czegoś, co ich wyobraźnię pochłania; miejsc osnutych tajemniczością, fantastycznymi opowieściami, a więc ruin, miejsc zakopanych skarbów, heroicznych walk, zaklętych lochów i tak dalej. Takim okresem wiedzy psychologicznej uznaje, więcej — poleca zaspokajać ten instynkt. Wydaje się, że ta dziedzina jest raczej zaniedbana, a szkoda.

W tej chwili mam na myśli takie województwa, jak rzeszowskie, — ze swoim Podgórzem i Bieszczadami, kieleckie, z górami Świętokrzyskimi, lubelskie, mające też wiele „romantycznych” zakątków. Mnóstwo tu miejsc tajemniczych, osnutych podaniami, fantastycznymi opowieściami.

W ostatnich latach propaganda turystyki nabrała wręcz żywiołowego rozmachu. W przewodnikach, konspektach, folderach czy nawet w zwyczajnych afiszach propaguje się różne

atrakcje turystyczne, z zasady jednak pomija się właśnie ten fantastyczny-wyobraźniowy aspekt, którym by tak można było zainteresować liczne rzesze młodzieży, chociażby tę autostopowiczkową, pędzącą wielokrotnie przed siebie bez celu, asfaltowymi szosami, przy których wszystko tak już jest opatrzone i „ucywilizowane”. Czy nie byłoby właściwą rzeczą pchnąć tę dynamiczną młodzież na wertepy, bezładnia, gdzie można zobaczyć jeszcze to, czego inni nie widzieli? Proponuję, by w tę dziedzinę wkroczyła planowa akcja.

Przychodzi mi na myśl po prostu potrzeba wydania specjalnych przewodników uwzględniających takie właśnie urozyskowe miejsca, z którymi są związane liczne podania typu topograficznego. A tych miejsc choćby tylko w województwie rzeszowskim — ogromna ilość, zaś podań, wręcz fascynujących, niezliczone masy. Dając młodzieży do rąk takie przewodniki, rozbudzi się w niej zmysł badawczy i odkrywczy, tak jej potrzebny. Nie tylko korzystaliby z tego, co inni zebrali, ale tę akcję prowadziłaby w dalszym ciągu.

Dla przykładu: powędrujmy po województwie rzeszowskim, po jego Podgórze.

Do Żurawiczek w powiecie przeworskim można dojechać autobusem. Stąd w górę koryta Mleczki idąc dojdzie się do potężnej budowli ziemnej, nad samą rzeką. Jest to „wał tatarski”, chłopska twierdza przeciw Tatarom. Zbudowana została na sztucznej wyspie, dziś ma charakter urczyska. Blisko przysiółek „Psi Młynek”, wśród ludzi mnóstwo podań, fantastycznych opowieści.

Z żurawickich „wałów” można pomaszerać do Chłopic. W lesie na stożkowatej górze samotny, drewniany kościółek. Stoi na miejscu chłopskiej warowni, przeciw różnym napastnikom. Z miejscowych podań można napisać sporą broszurę.

Idąc dalej na południe — a już jesteśmy na terenie powiatu jarosławskiego — młodzieżowa wyprawa turystyczno-badawcza, zanim dojdzie do samej wsi Tuligłowy, koniecznie powinna zatrzymać się w lesie, gdzie z łatwością odnajdzie potężne wczesnośredniowieczne grodzisko, o czterech pierścieniach wałów. Kto je budował? Może Wiślanie jeszcze, może Chorwaci? Może coś więcej powiedzą liczne podania, legendy, baśnie...

W tychże Tuligłowach, tuż obok wsi, znów dzieło ziemne tego samego typu, co i w Żurawiczkach, ale nieporównanie potężniejsze. Jeszcze dziś, wały miejscami wznoszą się na wysokość 7 m. Uprzejmi sąsiedzi powiedzą, pokażą gdzie znaleziono miecz, gdzie zapadł się w koryto rzeki kamienny posąg rycerza, gdzie stał stary kościół, który ludzie bronili przed Tatarami.

Krótko. Taka trasa to kilka dni romantycznej podróży, możliwości odkryć. Wiele miejsc pełnych zabytków, podań, legend, tak interesujących młodzież w pewnym wieku.

się w czasy Kazimierza Wielkiego, kiedy to dla grodu rozpoczął się okres największej świetności. Zdecydowało dobre położenie Jarosławia na drodze handlowej ze Śląska poprzez Kraków nad Morze Czarne. Potem w wieku XVI i XVII modne w Europie stały się targi jarosławskie, na których można było wszystko kupić i wszystko sprzedać. Rosły więc gwałtownie fortuny mieszczańskie i nie mogło im przeszkodzić, nawet dwa wielkie pożary w latach 1600 i 1625. I to nie tylko polskich mieszczan, bo wiele obcych rodzin osiadło wtedy na stałe w Jarosławiu. Dowodem — zabytkowe kamieniczki należące niegdyś do bogatych kupców Attavanti i Orsetti i do dziś tak popularnie nazywane.

W tej ostatniej mieści się Muzeum Regionalne. Pod uprzejmym przewodnictwem jego dyrektora, dra Kazimierza Gottfrieda, zwiędzam pokażne zbiory muzeum ilustrujące w głównej mierze kulturę miejską Jarosławia.

Najhojniejszym naszym dostawcą eksponatów kultury materialnej regionu z czasów przedhistorycznych jest rzeka San — mówi dr Gottfried — z jego dna rybacy i piaskarze do dziś wydobywają przedmioty codziennego

OSZCZĘDZAJCIE NAS

ATMOSFERA w pokoju najwyraźniej się zmieniła. Wszyscy patrzyli na siebie podejrzliwie, szukając rozwiązania przykrej zagadki. Spojrzenia coraz częściej kierowano w róg pod okno. Siedzący tam Duduś odczuwał dotkliwie ten napór oczu. Białł i czerwieniał, wiercił się na biurowym krzeselku. Wreszcie zerwał się, nabrał tchu i gdy wszyscy zamarli oczekując dramatycznego wyznania, nagle, jakby podcięty falą fetorku wywołanego tym poruszeniem — oklapł, zmalował i tylko wyszeptał:

— Więc tak, nie kąpałem się już cztery tygodnie. I znowu rumieniec oblał jego policzki, a my próbowałyśmy zawiązać nosy na wczel. Ale humanitaryzm zwyciężył. Pokonując wstręt, litościwie wezwaliśmy Dudusia, żeby opowiadał. Ogólnej atmosfery to nie poprawi, ale jemu ulży. Zawsze to kolega.

Opowieść Dudusia była prosta. Wprowadził się niedawno do tzw. taniego budownictwa, gdzie dla sześciu rodzin mieszkających na wspólnym piętrze wybudowano jedną łazienkę. Piętro było wspólne, ale poziom lokatorów — różny. Wystarczyło, że wśród kilkunastu kąpiących się, kilka osób stało nie myło po sobie wanny, a już wybuchła awantura. Wkrótce nikt tej wanny nie szorował, bowiem dwa mycia — po kimś i po sobie — to za dużo. Ale gdy pewien osobnik wykopał się po znośeniu węgla do piwnicy i wanny nie umył, wszyscy po prostu zrezygnowali z kąpielii. Łazienka, choć technicznie bez zarzutu, kompletnie zawiodła jako teren solidarnego współżycia lokatorów.

Nie chcę przez to powiedzieć, że tanie budownictwo należy do idei bankrutujących. Przeciwnie, myśl, aby za określoną cenę wnieść więcej budowli niż przedtem, jest czymś pięknym, ale formy, jakie ma się nadać realizacji tego dążenia, to rzecz zupełnie inna. Jedna wanna dla sześciu rodzin i wspólna ubikacja, a już pojęcia o zacisznym domu pierzchają bezpowrotnie. Gdybyśmy taki kierunek obrali 15 lat temu, kiedy ruszało nowe budownictwo — nikt nie oponowałby. Teraz, gdy przez te lata smakowano rozkosz własnego kąta, taki projekt stał się wyzwaniem rzuconym Polakowi piastującemu na swojską miarę angielskie „home sweet home”. I dlatego, gdy jedni rozpytywają się nad wielkimi oszczędnościami gdańskiego budownictwa, innych przeraża we śnie koszmar „obraczek na wannach” i tupot nóg ścigających się o miejsce przy wspólnym „oczku”.

Dudusia możemy jakoś wietrzyć, na przykład częściej wysyłać go w delegację, ale to jest ćwierćrodek, bo gdy takich jak on znacznie przybywa, tłok na kolejach nadmiernie wzrośnie, przy czym nie będą to już pociągi lecz fetorcigi, którymi żaden normalny człowiek nie zechce jeździć. Państwo zaoszczędzi na budownictwie, ale straci na delegacjach służbowych obywateli przymusowo wentylowanych oraz na niekupowaniu biletów przez obywateli normalnych. Ci ostatni będą wożeni na łebka przez kierowców, którzy znów przechwycą w ten sposób pokaźną część dochodu narodowego. Po pewnym czasie może dojdzie do niezwykle szkodliwego pogłębienia się — znanego już od dawna, ale na razie tłumionego — podziału społeczeństwa na wonnych i bezwonnych. Dalszych następstw nie podejmuję się zobrażować, ponieważ zaczyna mi się robić słabo. Ostatnie na co mnie stać, to zawołanie pod adresem architektów: oszczędzajcie, bracia, ale przede wszystkim oszczędzajcie nas!

Jędrzej

KULTURA W KRAJU

81-letni malarz, Tymon Niesłowski, profesor na wydziale sztuk pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu opublikował „Wspomnienia”. Niewielka, 128-stronicowa książeczka ze względu na zalety języka i bogaty materiał anegdotyczny stała się na Pomorzu bestsellerem. Szczególnie żywo potraktowany jest okres Młodej Polski z postaciami takimi, jak Falat, Przybyszewski, Staff, Kasprzowicz, Orkan, Tetmajer, Żeromski i Ruszczyk.

Obecnie obowiązujący zapis nutowy jest na ogół powszechnie nie znany, a nie zadowala również muzyków. Niewystarczalność jego stwierdzono już w w. XVII. W r. 1950 dr Tadeusz Wójcik z katedry logiki UW ogłosił projekt systemu izomorficznego, którego nowości polega na tym, że każde-

mu z 12 dźwięków oktawy odpowiada jeden stały symbol. Zespół „Izomorf” przy Zakładzie Teorii Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie przystąpił do realizacji wyników badań. Wprowadzono też Izomorfizm jako przedmiot obowiązkowy w Studium Muzycznym w Warszawie.

Stanisław Lenartowicz ukończył w tych dniach zdjęcia do polsko-włoskiej komedii wojennej „Pistolet maszynowy FIAT-2150”. Główną rolę gra Antonio Cifariello mając za partnerów Elżbietę Czyżewską i Zbigniewa Cybulskiego.

10.III.1964 przypada 10 rocznica śmierci Ieona Schillera. W Zarządzie Głównym SPATIF powołano komisję, która zajmie się przygotowaniem obchodów rocznicowych.

W toruńskim środowisku akademickim został zorganizowany konkurs na plakat poświęcony 20-leciu Ludowego Wojska Polskiego. Plon konkursu zademonstrowano na specjalnej wystawie.

STARE I NOWE JAROSŁAWIA

ALEKSANDER GABRUSIEWICZ

SA takie miasta — zabytki, miasteczka — muzea. Nie te rozkrzyczane w prospektach turystycznych, w upalne dni pełne wycieczek goniących z uliczki w uliczkę, zaspianę rupieciami pod tytułem: „Pamiętnik z X”. Nie. Te miasteczka — relikty leżą gdzieś na uboczu głównych szlaków turystycznych i nie opierają swego budżetu na dochodach z wycieczek. Żyją własnym życiem, trochę w zwolnionym tempie płynącym.

Takim znalazłem Jarosław, chociaż pierwsze wrażenie daleko odbiegało od podręcznikowo-histerycznych wyobrażeń. Szerokie ulice Słowackiego i Świerczewskiego, jarzące się neonomowymi latarniami, jasne, przestronne wystawy sklepów o zupełnie współczesnych nazwach „Dorotka”, „Krokus”, „Anoda”, „Murzynek”, wyraźnie nie pasowały do XIV-wiecznego warownego grodu.

Atmosfera, której poszukiwałem, odnalazła się dopiero w obrębie starego miasta, począwszy od ulicy Grodzkiej. Wytwarzają ją renesansowe fasady domów, gdzieniegdzie portal ozdobiony kutymi aniołkami, lub winna latorośl, liczne, przepaściste tunele średniowiecznych bram. W takiej scenerii łatwiej wyobraźni przenieść

użytku i kości zwierząt, które potem trafiają do nas. Ale najatrakcyjniejsza dla zwiedzających jest świetlica w oficynie.

Istotnie. Piękna renesansowa sala o modrzewiowym stropie i zabytkowych malowidłach ściennych urządzona jest tak jak dawniej. Ogromny stół dębowy, bogato rzeźbione skrzynie, portrety. Dodatkową atrakcją są nieźle zachowane autentyczne stroje mieszczańskie z aksamitu i zlotogłowi.

Wychodząc na Rynek od razu stykamy się z współczesnością potykając się o usypiska ziemi z ulicznych wykopków. Lecz i one służą historii, wykopki bowiem nie to prace nad renowacją i zabezpieczeniem siedemdziesięciu budynków. Prace te prowadzi Bytomskie Przedsiębiorstwo Robót Górniczych pod naukowym kierownictwem prof. Zalewskiego i dra Strzeleckiego z krakowskiej AGH. Roboty te trwają już od 1962 r., a końca ciągle nie widać. A sprawa staje się pilna, bo w Jarosławiu, jak i gdzie indziej, daje się odczuć duży brak wszelkiego rodzaju pomieszczeń.

Są i inne bolączki współczesnego Jarosławia. Dwudziestu siedmiu tysięcy mieszkańców trzeba zapewnić miejsca pracy, a z tym też nie jest najlepiej. Przemysłu kluczowego brak. Najbardziej rozwinięta jest wytwórczość spółdzielcza i przemysł terenowy. Ale ani bekoniarńia, ani zakłady cukiernicze „San”, ani wytwórnia pasz treściwych nie zaspokajają rynku pracy. Dlatego też władze powiatu usilnie zabiegają o szybkie uruchomienie wy-

twórni porcelany elektrotechnicznej, która w dużej mierze problem rozwiąże: da zatrudnienie ok. 1000 mieszkańcom.

Okazuje się więc, że nie sposób poznać miasta patrząc nań przez perspektywę historii. Współczesność daje znać o sobie na każdym kroku. Ot, choćby takim dziwnym malowidłem na szczytowej ścianie budynku: pastuszek w futrzanej czapce i w pelerynce smętnie nadawczy policzki gra coś na fujarce. Pod spodem napis: „Muzyka stała się własnością milionów ludzi prostych”. To chyba tylko dobre intencje, bo o żadnym wielkim zespole muzycznym w Jarosławiu nie słyszałem. A zespoły przyjezdne (także i teatr) odwiedzają Jarosław wyłącznie w sezonie ogórkowym.

Jest więc gród Jarosławia miastem cichym, spokojnym i... trochę zabitym deskami. Ale to nie tylko predyspozycje psychiczne jego obywateli uczyniły go takim, tylko dużo tzw. czynników obiektywnych. Np. Polskie Koleje Państwowe utrzymują ten niezdrowy separatyzm Jarosławia, bo na dobrą sprawę, jego brama wjazdową stanowi sąsiedni Przeworsk. Cóż, stacja węzłowa, rozumiemy. Ale dla czego pociągi pospieszne nie mogą się w Jarosławiu zatrzymać, choćby na zupełnie małą chwilę?

Na zakończenie coś z własnego podwórka. O „Kamienie” wprowadzie kilkanaście osób, z którymi rozmawiałem, słyszało, ale w tym niestety jeden tylko kioskarz „Ruchu”.



Wiedzie ta tendencja do twórczości ideowo nie zaangażowanej, „Jest tendencja w dzisiejszej sytuacji na wskroś estetyzującą, najzupełniej sprzeczną z szerszymi potrzebami społecznymi”. Diagnoza Matuszewskiego brzmi następująco:

„Właśnie model liryki dwudziestolecia, oczywiście dostatecznie szeroko pojęty, nie bez uwzględnienia wkładu awangardy, ale biorący pod uwagę także, a może i przede wszystkim, takie zjawiska, jak poezja Broniewskiego czy Tuwima, stanowi wciąż — jeśli chodzi o wyraz jakiegokolwiek treści ideowych w poezji — propozycję właściwie niczym nie zastąpioną”.

Z tymi uwagami Matuszewskiego koresponduje dyskusja, jaką przeprowadziła redakcja *Zycia Literackiego* na temat recepcji przez młode pokolenie twórczości trzech wybitnych poetów: Broniewskiego, Gałczyńskiego i Tuwima. Obok znanych krytyków i pisarzy wzięli też w niej udział nauczyciele-poloniści. Ciekawe są uwagi nauczycieli o odczytywaniu poezji poprzez życiorys własny poety, tzn. młodzież tym więcej interesuje się poezją i nią przejmując, im więcej wie o jej twórcy. To jakby zapowiedź nawrotu do *sui generis* biografizmu, od którego z trudem się wyzwalaliśmy. To też nawet poeci przestrzegali przed jakąkolwiek jednostronnością. Wnioski z dyskusji w ujęciu W. Maciąga zbiegają się ze stwierdzeniami publicysty *Nowych Drog*:

„Okazało się, że nawet poezja przystępna, nie wymagająca szczególnego przygotowania, stwarza nauczycielowi wiele kłopotów, a przede wszystkim ten kłopot podstawowy: jak przekazać młodzieży ideowe treści poezji nie tracąc ich wartości poetyckiej? Myślę, że kłopot ten wiąże się z istotą pracy polonisty. Młodzież ma instynktowne przekonanie, że idea o tyle jest żywa, o ile jest szczerze przyjęta i z równą szczerością wyrażona. I tego od poety oczekuje. W tym sensie dorobek Broniewskiego, Tuwima i Gałczyńskiego pozostanie zawsze materiałem rzetelnego doświadczenia, w tym sensie poeci ci pozostaną wzorem różnych form ideowego zaangażowania”.

Innego rodzaju problematykę przynosi bardzo interesujący artykuł Cz. Zgorzelskiego zamieszczony w *Ruchu Literackim* pt. „Zaginione skarby” (Apel w sprawie autografów Mickiewicza). Po nakreśleniu dramatycznych dziejów paru mickiewiczowskich rekwizytów kończy autor tak swoje wystąpienie:

„Spróbowano tu zestawienie listy pamiątek, które już zgubiliśmy. Niepełna przecie, bo w odniesieniu do tych tylko utworów Mickiewicza, które — jako najdrobniejsze — najłatwiej ulec mogą zatarciu. Miejmy nadzieję, że nie wszystkie z nich zagubione zostały na zawsze. Może wyjdą na jaw czasem z zapomnienia, czy ze świadomie przedłużonego ukrycia. Oby jak najrychle! Zmikrofilmowane, zabezpieczone w skarbcach bibliotecznych, podane pieczołowitej opiece kustoszów muzealnych, przetrwają może dłużej, służąc jednocześnie badaczom naukowym i społeczeństwu.

Do wszystkich, komu znane są losy tych skarbow, kierujemy prośbę: nadesłajcie co rychlej wszelkie wiadomości, jakie o nich posiadacie, bądź to do Muzeum A. Mickiewicza w Warszawie, Rynek Starego Miasta 20 bądź też pod adresem podpisanego: Lublin, Szopena 27-6. Prosimy o każdą, choćby najdrobniejszą informację, choćby nawet były to wiadomości niepełne, czy niedostatecznie ścisłe; choćby sprowadzały się jedynie do okoliczności, które doprowadziły — niestety! — do ostatecznej zagłady tych skarbow. Bo i to przecie winno być szczegółowo ustalone i historii należyć przekazane”.

T. K.

W godzinach popołudniowych zwołano Miasteczko Akademickie i Lubelską Spółdzielnię Mieszkaniową. Wieczorem odbyły się w Miasteczku Uniwersyteckim spotkania władz białostockich z przedstawicielami RO ZSP i zarządem nowo powstałego Kola Studentów Ziemi Białostockiej, oraz spotkanie ze studentami pochodzącymi z Białostocka, podczas którego poruszono sprawy stypendiów fundowanych, zatrudnienia przyszłych absolwentów lubelskich uczelni i niektóre sprawy kulturalne. W „Chatce Zaka”, przew. Mieczysław Wyszczelski dokonał otwarcia wystawy fotografów Waldemara Stepińskiego — „Elk — miasto i ludzie”. W najbliższym czasie odbędzie się podobne spotkanie z przedstawicielami województw: rzeszowskiego i kieleckiego.

W KLUBIE ZPKPR „NORA” odbyła się wojewódzka narada działaczy kulturalno-oświatowych, członków Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. W naradzie wziął udział wiceprezes Naczelnego Komitetu ZSL, członek Rady Państwa, Józef Ozga Michałski. W godzinach wieczornych, odbył się wieczór autorski Józefa Ozgi-Michałskiego. Wiersze recytowali aktorzy Teatru im. Juliusza Osterwy, następnie autor czytał swoje najnowsze utwory.

„Piata kolumna” E. Hemingwaya w P. Teatrze im. J. Osterwy w Lublinie. Elzbieta Święciecka (Dolores) i Adam Cieślak (Filip). Recenzja — w następnym numerze.



Kształt wielkości

JAKO kolejna wystawa problemowa otwarta jest w Muzeum Lubelskim ekspozycja dzieł H. Rodakowskiego i P. Michałowskiego.

Dwaj wielcy malarstwa polskiego uznani za mistrzów najwyższej europejskiej klasy, a jednocześnie bardzo różni ludzie i twórcy. Henryk Rodakowski był przede wszystkim malarzem, mimo ukończenia studiów prawniczych w Wiedniu, które nie wywarły niemal żadnego wpływu na jego późniejsze życie. Biografia twórcy „Sanosłery”, Piotra Michałowskiego, uważanego zresztą przez współczesnych mu rodaków za amatora (coż za paradoks!), ukazuje człowieka o wszechstronnym wykształceniu humanistycznym, zajmującego się przy tym rolnictwem, pracującego w resorcie przemysłowym, i być może ta zasadnicza różnica sytuacji życiowych, poparta naturalną predyspozycją psychiczną i kształtem osobowości twórczej artystów, warunkuje oblicze i wymowę ich sztuki.

Malarstwo portretowe Rodakowskiego, w którym uwidacznia się najpełniej mistrzostwo i wielkość artysty, swoją ogólną koncepcją formalną nawiązuje do kanonów sztuki klasycznej w interpretacji renesansu: wyraźny, lecz pozostający w ścisłym związku z kształtowaną formą kontur kreu. Je postacie ujęte w kompozycjach odrzeczniowego trójkąta, zrealizowanych w prytiumionej często skali kolorystycznej, od której odbiega barwnością „Portret siostry artysty” 1858, rozegrany w nasyconych zieleniach, czerwieniach i brązach. Jest to malarstwo dostojnej powagi, unikające zbędnego ruchu, nawet gestu o doskonałe zestrojonych elementach malarskiej i rysunkowej formy wydobywającej pogłębią psychikę modeli.

Jakże odmienna jest sztuka malarska Piotra Michałowskiego — dynamiczne kompozycje defilad, sceny batalistyczne, portrety konnych i typów chłopskich — cały ten malarski świat Michałowskiego tętni ruchem świetlistych plam i rozdragnanych form, wśród których doszukać się można głębokiej znajomości Valasquesa i Rembrandta („Jeździec”). Nie przywiązywał, jak Rodakowski, największej wagi do samej formy dzieła, choć operował nią z niezrównanym mistrzostwem, przynoszącym oryginalną i własną rzeczywistość malarską, w której wartości plastyczne jednoczyły się z treściami.

I. J. Kamiński

Z INICJATYWY ZARZĄDU WOJEWÓDZKIEGO ZMW I WOJEWÓDZKIEGO DOMU KULTURY w Lublinie, powstał Ośrodek Lubelski Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy. Pierwsze inauguracyjne spotkanie KKM (o KKM pisała „Kamena” w numerze 9, z 15.IV.1963 r.) odbyło się 19 stycznia na Zamku w Lublinie. Odczyt pt. „Aktualne problemy młodej literatury polskiej” wygłosił Henryk Beresza. Następnie odbył się „turniej” jednego utworu. Jury przyznało wyróżnienia Wiesławowi Sadurskiemu, Kazimierzowi Eugeniuszowi Steszukowi i Eugeniuszowi Szpakowi. „Wyróżnienie sal” uzyskali Violetta Szorc i Jerzy Mataczyński. Pierwsze spotkanie KKM zgromadziło kilkadziesiąt osób piszących z terenu Lublina i województwa.

BIAŁYSTOK

BRAK PAMIĄTEK I UPOMINKÓW związanych z regionem Białostockim był powodem ogłoszenia ciekawego konkursu dla artystów plastyków, amatorów i wytwórców ludowych. Organizatorzy — Zrzeszenie Chałupników, WKKE, PTTK i opiekun konkursu — Wydział Kultury PWRN w Białymstoku oczekują interesujących modeli prac, tym bardziej że i nagrody są atrakcyjne — o łącznej sumie 16 tys. zł. Bliższych informacji o konkursie zasięgnąć można w Wydziale Kultury, Białystok, ul. Mickiewicza 5.

GODNE SĄ ODNOTOWANIA DWIE INTERESUJĄCE WYSTAWY plakatów w Białymstoku. Muzeum Ruchu Rewolucyjnego ekspozycję wystawę plakatów politycznego, WKZZ natomiast polski plakat filmowy.

DO OBCHODÓW 20-LECIA PRL przygotowuje się również Muzeum Regionalne. Najciekawsze zamierzenia to objazdowa wysta-

wa białostockich dywanów dwuosnowowych i podlaskiej sztuki ludowej, a także przygotowywana wystawa sztuki ludowej czterech współpracujących województw.

KIELCE

W LICEUM PEDAGOGICZNYM W BLIŻYNI (powiat kielecki) odbyła się w grudniu ub. roku trzydniowa kursokonferencja zorganizowana przez Zarząd Wojewódzki Towarzystwa Szkoły Świeckiej w Kielcach. W konferencji wzięło udział 40 absolwentów z ostatniego roku zakładów kształcenia nauczycieli woj. kieleckiego. W pierwszym dniu kursokonferencji inauguracyjny wykład pt. „Rola inteligencji wiejskiej w procesie licyzacji” wygłosił dyrektor UL w Rożnicy znany literat Waldemar Babinicz. Po zajęciach uczestnicy kursokonferencji urządzili spotkanie z pisarzem, na którym Waldemar Babinicz dedykował swą ostatnią książkę pt. „Za ścianą”. Dalsze wykłady wygłosili: mgr J. Wieluński, K. Kaluża, P. Gałczyński i P. Wiecek. Głównym tematem konferencji była praca szkolnych kół TSS na wsi.

RZESZÓW

AMATORSKI ZESPÓŁ TEATRALNY PZGS W JASLE otrzymał doroczną nagrodę Ministerstwa Kultury i Sztuki za osiągnięcia repertuarowe, wysoki poziom artystyczny i szeroko zakrojoną pracę oświatową w środowisku jasielskim.

W MUZEUM RZESZOWSKIM otwarta w grudniu wystawa malarstwa i grafiki czterech wschodnich województw. Po odwiezieniu Lublina, Kielc i Białegostoku wystawa dotarła do Rzeszowa, gdzie spotkała się z dużym zainteresowaniem społeczeństwa.

Unia

KRONIKA KULTURALNA

LUBLIN

WSPÓLPRACA CZTERECH WOJEWÓDZTW obejmuje coraz większy krąg zainteresowań. 21 stycznia, na zaproszenie lubelskiej Rady Okręgowej Zrzeszenia Studentów Polskich, bawili w Lublinie przedstawiciele białostockich władz wojewódzkich i partyjnych — wiceprzewodniczący PWRN w Białymstoku, Gabriel Górtowski, kierownik Wydziału Propagandy KW PZPR, tow. Walenty Awir, przewodniczący PMRN w Elku Mieczysław Wyszczelski i kierownik Wydziału Propagandy KP PZPR w Elku tow. Józef Kapel. Spotkanie miało na celu zacieśnienie współpracy, jaką już od 1960 r. prowadzi wojewódzkie władze studenckie z władzami województwa białostockiego. Goście złożyli wizytę rektorowi WSR dr Stefanowi Ziemińskiemu, byli gośczeni przez wiceprzewodniczących PWRN w Lublinie — Jerzego Krupkę i Jana Siewierskiego oraz przez wiceprzewodniczących PMRN Jerzego Lichodziejewskiego i Zygmunta Mostowskiego.

Dwutygodnik społeczno-kulturalny „Kamena” • Redaguje Kolegium • Redaktor naczelny Maria Bechzyk-Rudnicka, sekretarz redakcji Zygmunt Mikulski • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1 • Telefon 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu”, zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”. Prenumerata przyjmowana jest od 1 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonana jest przedpłata. Prenumerata za granicą: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie zł 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje PKWZ „Ruch”, Warszawa, ul. Wilcza 46. Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch” Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa. Zam. 177. 15.1.64. R-6